

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

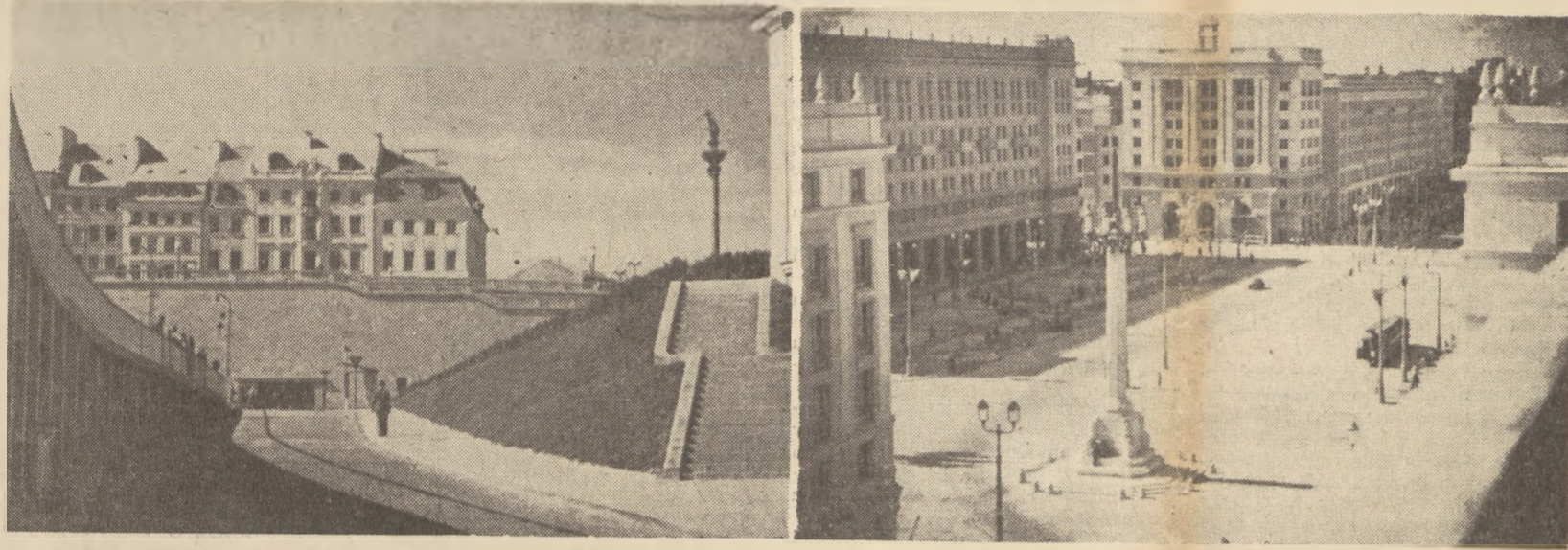
W NUMERZE:

J. P. SARTRE — Tworzymy pokój H. BORKOWSKA — Pokolenie przyszłą wiosnę niosące
A. LAM — Manowce i lekcje września T. KOWALCZYK — O zmorach pijących krew
W. PALIK — Zagrożenie unicestwienia G. BIDWELL — Indie pienię chwasty
A. TOŁSTOJ — Rosyjski charakter K. PAŁYS — Sprawa jednej kępy
S. DZIECHCIARUK — J. R. Becher H. WANDOWSKI — Droga na ocean
B. CHOCIANOWICZ — „Dziadek” Kalinowski, Rek i Matuchowski

Rok X

Warszawa, dn. 18 stycznia 1953 r.

Nr 3 (389)



WARSZAWO! SERCE NARODU I STOLICO PAŃSTWA

Cala Polska żyje dziś radością twego wyzwolenia. Krwią najlepszych twych synów nasiąkły twe place i podziemia.

W ruinach legły twe najpiękniejsze, przez wszystkich uwielbiane gmachy, pomniki i ulice. Sprawila to nienawisć wroga i głupota wsteczników.

Dzisiaj wrócili ci wolność żołnierze polscy, sprzymierzeni z bratnią Armią Czerwoną, wyzwolicielem narodów uciśnionych.

Miłujący cię naród nie zapomni o tobie nigdy.

Przez wieki cześć będą pokolenia Polaków pamięć twych bohaterkich czynów i twardą wolę twjej walki o godność i niepodległość

Zaś demokracja polska przywróci światłość twym kształtom i sławę swej stolicy utrwałą w twórczym pochodzie ku sprawiedliwemu współżyciu narodów.

18 stycznia 1945 r.

BOLESŁAW BIERUT
Prezydent Krajowej Rady Narodowej

LESŁAW BARTELSKI

19 STYCZNIA 1945 ROKU

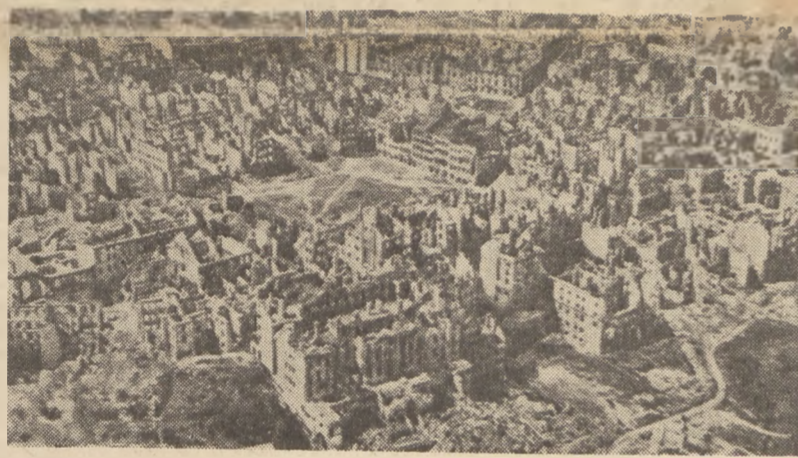
SAMOLOT pochylił się nisko nad wieże skrajno, miało w dole odbicie tęczowe podobne przysypanej śniegiem leśnej porębie. Czarne ruiny domów sterzwały jak niewykarczowane pniaki. Pilot wyłączył motor i samolot schodził do lądowania. Jerzy Bednar, inżynier architekt, kapitan I Armii, odkomenderowany przez dowództwo do dyspozycji prezydenta stolicy, wychylił się przez burzę „kukuruznika”. Mały sadek z rozsypanymi czerwonymi dachówkami i ciemnym lejem fundamentów przesunął się pod kołami samolotu; jeszcze parę potknięć na grudach, nieunikniony wstrząs przy zetknięciu z ziemią i nasilenie wiatru ustalo. Zrobiła się cisza, niespodziewana, przez to samo zaskakująca. Chorąży odwrócił się, szarpnął okularami, odsuwając je na czolo. — To już — powiedział, wskazując ręką. Betonowane pole startowe zgniecione było bombami, strzaskane hangary leżały nisko, przy ziemi.

Bednar przerzucając nogi przez burtę pośpiesznie wysiadł z samolotu, uważając, aby nie pośliznąć się na oblodzonym płótnie skrzydeł. Piekła go twarz, zakrzepła na mrozie, jakby napuchła, sina w obramowaniu skózanego hełmu. Przenikały go dreszcze, pragnął znaleźć się jak najszybciej w cieple. Widział tylko usta mówiącego: zsiniałe, splekane wargi ukazujące w rozchyleniu mocne twarde zęby. Nie rozumiał, co mówił do niego chorąży, dochodziły go pojedyncze słowa. Uwagę jego zaprzętnął Willis, który ukazał się z ruin, z dyktową budą, dorobioną na karoserii, pomalowaną na biało.

— Nie uważacie, mroź? — porucznik, wysiadłszy z głębi budy, nasunął koinierz, naciągając na uszy wojskową czapę, podbitą barankowym futerkiem. Pilot przytupywał na śniegu i zdjąwszy rękawice, rozcierał zgrabił dlonie Bednar stał z boku, starając się rozpoznać znany sobie sprzed wojny pejzaż. Wieży, zdala widocznej, określającej miejsce położenia warszawskiego lotniska, nie było, kawałki żelbitu, ciśnięte wybuchem, rozprysły się wokół jak stłuczone szkło.

— Pojedziemy? — porucznik chodził tam i z powrotem, szurając nogami. Nosił brezentowe cholewy i kawalerski płaszcz po ziemi. Bednar w milczeniu ścisnął rękę pilota. Porucznik nagabywał bowiem do odjazdu, zerwał się wiatr, podrywając się ostrymi biczymi podmuchów z płaskiej równiny.

— Zajedźcie wpiwer do nas — zaproponował oficer. — Potem do miasta — próbował uśmiechnąć się ironicznie, zamiast uśmiechu wyszedł grymas. Bednar skinął głową. Teraz, gdy był już tutaj, rzeczywistość nie wydawała się tak odległa, jak tam — za Wisłą. Nie miał jednak odwagi powziąć decyzji, wydzierającej mu strzępy nadziei. Wolał opóźnić po-



wróć, choć, jak każdy z nas, powracających zimą 1945 r. wierzył, że spośród setek zniszczonych domów ostał się jeden — nam najbliższy.

Podjechali pod domek, stojący nieco na uboczu, o dachu uszkodzonym i wybitych szybach, na których miejsce wstawiono deski i kawałki papy. Porucznik nachyliwszy się ku szoferowi powiedział coś do niego i z kolei zapraszał Bednara, powta rając. — Ogrzejcie się, kapitanie, trochę? Chyba zmarzliście, tam, w gorze...

Spalone dokoła zabudowania, o murach niskich, parterowych, pokrywał śnieg, przemieszany z popiołem. Bednar szczykał zębami, nie mogąc wymówić ani słowa. Weszli do mieszkanca na parterze, ciemnego, przesiędlonego zapachem potu ludzkiego i gryzącej wiony dymu. W rogu, pod ścianą, spali na słomie żołnierze, otuleni płaszczami i kocami, narzuconymi na głowy. Przez niewielką szybę, wprawioną wysoko, niemal przy pułapie, padało światło. Pośrodku pokoju stała „kozka”, poczerwieniała od gorąca rura dudniła głośno, płomień przezał po gałgach wystających przez szpary fajerek.

— Ruiny. Same ruiny — powtórzył głucho Bednar. Dano mu szklankę herbaty, parzącej wargi. Żołnierze, o zapadniętych twarzach, z krwistymi wypiekami od ciepła, nie patrzyli na siebie, skupieni przy piecyku. — Ruiny — szeptał Bednar, małymi łykami popijając zmętniały płyn. Patrzono na niego nieprzychylnie, żołnierze pospuszczali głowy. Jeden z nich, z mroku, gdzie nie można dostrzec twarzy, szepnął. — Pucka!

Porucznik spytał nieprzyjaźnie. — Praszę macie? Odebrał z rąk gościa egzemplarz „Głosu Ludu”, wymięty i porozdzierany, przebiegł oczyma po pierwszej kolumnie i zatrzymał się przy komunikacie: PIERWSZE WIEŚCI Z WARSZAWY. Przeczytał go głośno, oddzielając zdanie od zdania, z widocznym wysiłkiem. Dziennik podawał co następuje:

„Warszawa (Polpress). 17.1.1945. Na wiadomość o uwolnieniu Warszawy, praski korespondent Polpressu natychmiast wyruszył do Warszawy. Wszystkie mosty na Wisłę zostały wysadzone. Centrum Warszawy przedstawia obraz straszliwego zni-

szczenia. Nie ma prawie ani jednego całego domu. Sterczą tylko szkielety budowli i wznoszą się wielkie kopce gruzu.

Wojsko szybko zaprowadza porządek w Warszawie. Odbywa się naprawa mostów i zakładanie telefonów. Panuje ożywiony ruch wojskowy, przeciągają czołgi.

Według niesprawdzonych jeszcze relacji na Ochocie i Mokotowie znajduje się ludność cywilna.

Oficer złożył gazetę z wyrazem pewnego zawodu na twarzy i chciał ją oddać Bednarowi. Kapitan trzymał dłoń nad piecykiem, jeden z żołnierzy łamał gałgą i wkładał je ostrożnie pomiędzy płomienie.

— Zatrzymajcie sobie — odpowiedział Bednar, pochylając się nad ogniem. — Mnie niepotrzebna. Znam to już. Ruiny — dodał. Z jego słów nie wypływało nic, coby można podciągnąć pod określenie życia. Przy mus, z jakim mówił, przywołał w myśl przypuszczenie, że Bednar nie pewny jest siebie samego i swoich uczuć. Rzeczywistość była o wiele bardziej wstrząsająca niż wszelkie wyobrażenia o niej.

— Trzeba jechać — rozstrzygnął porucznik, gdyż milczenie przeciągało się. Szofer poruszył się, z niechęcią wstając ze słomy, która zaszeleściła i zaczęła nakładać rękawice.

Zanim kierowca zapalił ostygły motor, Bednar wpatrywał się w profil miasta, szarzejący w oddali niczym masyw skalny, pełen pęknięć i załamów. Nie bez uczucia wewnętrznej lekkości kapitan myślał o powrocie. To, co jeszcze niedawno wydawało się kresem wędrówki, zrzędzeniem losu stawało się teraz jej początkiem.

Samochód szarpnął, podskakując na bruku. Jechali podzwiniając łańcuchami, w bankach chlupotała benzyna. Szyba zamazła i żołnierz co chwila zwalniał biegu, obcierał ją gaiganem. Wcisnął się mroźny wiatr i Bednar ściślej zwiłzał nogami policyjnego płaszczka. Prosta droga naga równina sięgała po rozbitte miasto.

Niskie garby wałów pofortecznych zatamowały się, tworząc kotłynie, którą przedarła się szosa.

Miasto zbliżało się, domy rosły, wypełniały szczegółami. Bednar poprzez brudną i zamazaną szybę wpatrywał znajomych sobie ulic.

Willa wjeżdżała w dzielnicę mającą pozory niekniejętą zniszczeniem. Wysokie parapiętrowe kamienice zadziwiała świeżością fasad, lecz ślepe wypalone okna przebijaly niebem, jasnym jak kryształ. Pół ściany, rozprutej bombą, wydarło z wnętrza legary i deski podłogowe. Skawalone bryły gruzu leżały na nawierzchni, opony zgrzytały na szkiele i wóz pochylił się raptownie wpadając w lej. Bednar chwycił kierownicę za ramię. — Prędzej, prędzej! Niepokój zaciskał gardło, natrętny i nieustępujący. Kapitan mimo wszystko wierzył, że jeszcze nie jest za późno. Willis gwał ułica Wawelską; drzewa na Polu Mokotowskim mignęły czerniejącymi koronami, dymy nad Mokotowem rozmywały się, pędzone wiatrem. Przy alei Niepodległości szofer przyhamował jakby wahając się i skręcił w lewo. Za szpitalem, wielkim szarym pudłem i przyległymi doń czerwonymi budynkami znowu odsoniła się przestrzeń, odbijająca się w mglisto osadzonym między chmurami słońcu. Czarnymi punkcikami na białym tle migotały sylwetki powracających, skurczone pod ciężarem tobołów.

Wjechali w śródmieście splekane jak skała. Motor drgał pełnym obrotem, chłodnicę otaczał wąży obrotów ciek. Ulica Lwowska, której perspektywy zacieśniały ruiny, błysnęła całymi szymbami i choć nie było na niej ludzi, nosiła cechy zamieszkania. Jedyne niska barykada, rozrzucona, oczyszczona pośrodku jezdnii świadczyła o minionym. Wóz chwiał się na wybojach, szofer pytając spojrzął na kapitana. — Tak, tedy jedźcie — ponaglał Bednar. Pojechali ulicą Śniadeckich. Marszałkowska, ciągnąca się poprzek jak dolina w górach, ukazywała pełnię zniszczenia, mimo że część domów pozostała nietknięta; rozkopane chodniki, tunele podziemne jak nory krecie, barykady, na które runęły ściany, wielkie kałuże ścięte w lodowe płyty wydobywały z nęgdys ludnej ulicy groźbę milczenia. Przy Kruczej Bednar pochylił głowę, przeczytawszy napis: UWAGA! OBSTRZAŁ! Na skrzyżowaniu z Mokotowską szofer przystanął, nie wiedział której jechać. — Prosto. Potem w lewo — krzyknął kapitan, gdy ruszyli. Jeszcze parę podrzutów rozkołysanych na wybojach resorów i skręcił w aleję Ujazdowskiej. — Prędzej — syknął Bednar przez zaciśnięte zęby, drząc febrycznie. Czekał na tę chwilę pięć długich lat. — Prędzej!

Gdy podjeżdżał pod dom, widoczny z dala, o czteropiętrowej elewacji, gładkiej jak owoc, nieporętej pociskami, Bednar odetchnął. Wyskoczył z samochodu i wbiegł w bramę.

W cieniu spalonej oficyny, jak na dnie jamy, stał posąg lancercy z brązu, odchylonej z lekka do tyłu, w wdzięcznej pozie, z obnażonym torsem. Jej usta, trafione odłamkiem granatu, rozwarły jak do krzyku.

Lesław Bartelski

29 ROCZNICA ŚMIERCI LENINA



MIKOŁAJ TICHONOW

* * *

Minęło wiele długich lat,
Kiedy w okrutnej zawierusze
Na zawsze zgasił oczy świat,
Które zdołały przyszłość ujrzeć.

W zenicie słońca błądź zrab
Okrył się mgłą wieczornych cieni
I słyszeliśmy — dzwonił w krag
Mróz nad zastygłą, twardą ziemią.

Zdało się — życia zmarły dni,
Nad światem skrzydła rozpiął smutek,
Cichaczem w zamroczeniu lzy
W krtań podpyływały bólem skutą.

I czekaliśmy tłumiąc płacz,
Serca w milczącym stygły żalu.
Przysięga — zawsze wiernie trwać —
Za wszystkich odpowiedział Stalin.

Ponad ojczyznę całą znów
Niebo nurzyło się w błękitnie.
Rodziła się z przysięgi słów
Przyszłość trwałego jak wiek życia.

tłumaczył
Władysław Odojewski

„...wolność Polski jest niemożliwa bez wolności Rosji... Bez zwycięstwa proletariatu i rewolucyjnego chłopstwa w Rosji śmieszny jest mówić o prawdziwej niezawisłości Polski...”

LENIN (1908)

Dzieła, wyd. ros. 4, t. 15, str. 241/2

*

JESLI pominać dyskusje w latach 1905 — 1906, to zagadnienie budownictwa socjalizmu w jednym kraju zostało postawione w partii po raz pierwszy podczas wojny imperialistycznej w 1915 roku. Wiadomo, że Lenin po raz pierwszy sformułował wtedy twierdzenie o „możliwości zwycięstwa socjalizmu” poczynkowo „w jednym z osobna wziętym kraju kapitalistycznym” (patrz t. XVIII, str. 232). Był to okres zwrotu od rewolucji burżuazyjno-demokratycznej do rewolucji socjalistycznej. Wiadomo, że Trocki od razu zakwestionował wtedy to twierdzenie Lenina, oświadczył: „beznadziejnie byłoby sądzić... że na przykład rewolucyjna Rosja mogłaby się ostać w obliczu konserwatywnej Europy” (patrz t. III, dzieł Trockiego, cz. I, str. 90).

W 1921 roku, po Rewolucji Październikowej i wojnie domowej, kiedy zagadnienia budownictwa stały na porządku dziennym, zagadnienie budowy socjalizmu znów wypływa w partii. Był to okres, kiedy zwrot do „nowej polityki ekonomicznej” oceniany był przez niektórych towarzyszy jako odejście od socjalistycznych zadań, jako odejście od socjalistycznego budownictwa. Wiadomo, że Lenin w swojej broszurze „O podatku żywnościowym” określił wtedy zwrot ku „nowej polityce ekonomicznej” jako niezbędny warunek spójni przemysłu z gospodarką chłopską, jako warunek zbudowania fundamentu ekonomiki socjalistycznej, jako drogę do skutecznego budownictwa socjalizmu. Było to w kwietniu 1921 roku. Jak gdyby w odpowiedzi na to, Trocki w styczniu 1922 roku, w przedmowie do swojej książki „Rok 1905”, wysuwa całkowicie przeciwnie twierdzenie w sprawie budownictwa socjalistycznego w naszym kraju, oświadczył, że „sprzeczności sytuacji rządu robotniczego w zacołanym kraju z przyłaczającą większością ludności chłopskiej będą mogły znaleźć rozwiązanie jedynie w skali międzynarodowej, na arenie światowej rewolucji proletariatu”.

W rok później (1922 roku) znów przeciwstawiają się sobie nawzajem — oświadczenie Lenina na plenum Moskiewskiej Rady Miejskiej, że „Rosji nepowskiej będzie Rosja socjalistyczna”, i oświadczenie Trockiego w posłowie do „Programu pokoju”, że „rzeczywisty rozwój gospodarki socjalistycznej w Rosji stanie się możliwy jedynie po zwycięstwie proletariatu w głównych krajach Europy”.

Wreszcie, znów po roku, niedługo przed swoją śmiercią Lenin ponownie wraca do tego zagadnienia w artykule „O spółdzielczości” (maj 1923 r.), oświadczył, że w Związku Radzieckim mamy „wszystko, co jest niezbędne do zbudowania społeczeństwa całkowicie socjalistycznego”.

Taka jest krótka historia zagadnienia. Już z tej informacji historycznej widać, że problem budownictwa socjalizmu w naszym kraju jest jednym z najważniejszych problemów naszej praktyki partyjnej. Nie trzeba chyba dowodzić, że Lenin nie powracałby do niego wielokrotnie, gdyby nie uważał go za jedno z najważniejszych zagadnień naszej praktyki!”

JOZEF STALIN

Przemówienie na Uniwersytecie Im. Swiętego

1 GRZESIA 1922 R.

GEORGE BIDWELL

INDIE PLENIA, CHWASTY



Saifuddin Kichlew

W ALKA o niepodległość i walka o pokój są niepodzielnie całością. Ta prawda jest tak oczywista, że stała się aż bolesna. Jej świętym wyrazem, jej połączeniem w jednej osobie jest znakomity działacz hinduski dr Saifuddin Kichlew, pierwszy spośród przedstawicieli narodów Indii, który otrzymał Stalinowską Nagrodę Pokoju. Dr Kichlew od lat walczył w szeregach ruchu wyzwolenia ludu hinduskiego i znany jest w całej Azji ze swej niezłomnej walki przeciw agresji U.S.A. na Korei i przeciw polityce Waszyngtonu zmierzającej do odrodzenia japońskiego imperializmu. Nic więc dziwnego, że stał się również czynnym działaczem ruchu pokoju. W ruchu tym reprezentuje rządzące dziś w Indiach stronnictwo Kongresu Narodowego, co raz jeszcze potwierdza prawdę, że pokój jest celem, który łączy ludzi różnych poglądów i różnych partii.

Dr Kichlew stoi na czele Indyjskiej Rady Pokoju, która pod jego przewodnictwem zdobyła olbrzymi wpływ na społeczeństwo. Sekretarz generalny Rady Romesh Chandra ogłasza co tydzień artykuły na temat pokoju w dwudziestu wielkich dziennikach. W całym kraju odbywają się regularnie zebrania gromadzące od kilkudziesięciu ludzi w zapadłych wioskach do dziesiątków tysięcy w wielkich miastach. Akcja zbierania podpisów na protesty przeciw wojnie bakteriologicznej i na Apelu o Pakt Pokoju pięciu wielkich mocarstw dała ogromne wyniki. Ludność powszechnie i słusznie wiąże istnienie groźby wojny z głodem raz po raz uderzającym w Indie. Wśród działaczy zbierających podpisy dla przykładu wymienić można Bibi Dajit Kaur, typową kobietę hinduska, która zebrała 60.000 podpisów, dziennikarz Raj Kumar Surabans i dwóch studentów Santosha Dasa i Dhanwanta Singha, z których każdy zebrał po 40.000 podpisów.

Delegacja hinduska na Kongres Pokoju w Pekinie obejmowała 53 osoby, w tej liczbie kilku członków parlamentu, bliskich przyjaciół premiera Nehru, wybitnych uczniów Ghandiego, przemysłowców, duchownych, pisarzy, uczonych, artystów i oczywiście przywódców robotniczych.

Wagę tych faktów rozpatrywać trzeba na tle represji, jakie spadają na ruch pokoju w Indiach ze strony reakcyjnego rządu Nehru. Gdy policja zdiera plakaty i aresztuje rozlepiających je robotników, a jej agenci usiłują zrywać zebrania, gdy wzorem amerykańskim, działaczom pokoju odbiera się swobodę ruchów, a nawet pod byle pretekstem wtrąca ich do więzienia — akcja na rzecz pokoju wymaga wielkiej odwagi cywilnej, ofiarności i wyrobienia obywatelskiego. Równie wielkiej i równie wytrwałej jak odwieczne dążenie do wyzwolenia się z obcego jarzma.

Walka ludu hinduskiego o pokój wiąże się i wyrasta z jego walki o niepodległość toczącej się od stuleci. Olbrzymie możliwości rynku hinduskiego, nieprzebrane bogactwa i zasoby olbrzymiego kraju, ciągnące się od śnieżnych szczytów Himalajów, po żyzną dolinę Gangesu, od nieprzebytej dżungli po jałową wyżynę Dekanu, od wieków ciągnęły jak magnes awanturników i kupców Zachodu. W połowie XVIII w. rozegrała się rozstrzygająca bitwa o prawo wyzysku Indii między brytyjskimi a francuskimi kompaniami handlowymi. Zwycięscy brytyjczycy natrafili wówczas na próby oporu ze strony miejscowych książąt, którzy nie chcieli dzielić się z obcymi swą pozycją wyzyskiwcy własnego ludu. Niezgrany ten opór zgniótł ostatecznie osławiony twórca imperium brytyjskiego w Indiach Robert Clive wygrywając zreszczeniem jedynek książąt przeciw drugim i podporządkowując ich wszystkim swej władzy. Clive rozpoczął karierę jako podrzędny kancelista, a wrócił do Anglii z milionową fortuną w złocie i klejnotach i jako właściciel olbrzymich, dochodowych posiadłości w Indiach. Brytyjska klasa rządząca, której zapewnił bezkarny rabunek milionów, nagrodziła go najwyższymi orderami i tytułem barona.

Był to jednak dopiero początek brytyjskiej eksploatacji Indii. Odtąd rozpoczęło się nieprzerwane wywożenie złota i innych bogactw służących następnie do rozbudowy przemysłu angielskiego. W samych Indiach zniszczono wielką na owe czasy produkcję najlepszych w świecie wyrobów bawelnianych i zniszczono rzemiosła, by zalać Indie tanimi wyrobami angielskimi z indyjskiej bawelny. Przeszło sto lat temu

dr Bowling mówił w parlamencie brytyjskim o „nedzy tkaczy hinduskich skazanych dosłownie na głód i setkami wymierających z głodu, podczas gdy całkowicie upadła produkcja słynnych na cały świat muslinów Dacca...”

Równocześnie obciążono ludność Indii wysokimi podatkami na pokrycie „dobrodrojstw” rządów brytyjskich. Gdy brakło gotówki poborcy konfiskowali ziemię, a dla uzyskania zeznań podatkowych systematycznie uciekali się do chłosty. Chłop hinduski musiał płacić nie ludzkie czynsze, a wytwór swej pracy dostarczać na nowopowstałe rynki kapitalistyczne w postaci dostaw taniego surowca dla brytyjskiego przemysłu, który ciągnął stąd olbrzymie zyski i budował „dobrobyt, szczęśliwość i wspaniałość” wiktoriańskiej Anglii. Produkcja żywności w Indiach spadła zastraszając, a głód stał się zjawiskiem stałym.

Kazał wam płacić za chleb
Za niebo ziemię wodę i sen
Za całą nedzę
Waszego życia

pisał Eluard do ludu hiszpańskiego. To sama, tylko niepomniejszona zwielokrotniona tragedia, zrodzona z tej samej kapitalistycznej przyczyny, była i jest udziałem czterystu milionowej ludności Indii. Ale niedza życia była nie tylko źródłem niezmiernych zysków, płynących do skarbców londyńskiego City. Była także zaczątkiem walki.

Pod naciskiem woli narodów Indii rząd brytyjski ogłosił w 1947 r. niepodległość kraju. Dla zapewnienia sobie nadal panowania przy pomocy osławionej zasady „Divide et impera” (dziel i rządź) podzielono szereg prowincji tak, by wykreślił z nich odrębne państwo pod nazwą Pakistanu (w dalszym ciągu mowa będzie o pozostałej części subkontinentu). Burżuazji indyjskiej ofiarowano pewien udział w wyższym szeregach mas i w ten sposób skłoniono Partię Kongresową Ghandiego do zawarcia sojuszu z książętami — 585 marionetkami brytyjskimi, które strachem utrzymują ludność w posłuszeństwie. Gdy Pandit Nehru i Partia Kongresowa ogłosili niepodległość i kres rządów brytyjskich, lub oczekiwał wielkich zmian, a w szczególności przejęcia brytyjskich inwestycji w Indiach. Pamiętano bowiem dobrze słowa prezydenta USA, Wilsona: „Krajem władzą kapitali, jaki jest w nim zainwestowany. Jest rzeczą niewątpliwą, że w miarę jak kapitał zagraniczny napływa i obejmuje kraj, równocześnie napływają i obejmują kraj wpływy zagraniczne. Tak więc procesy ruchów kapitału są procesami podboju”.

Prem Sagar Gupta oblicza („Foreign Capital in India” Bombay, 1952), że w ręku kapitału zagranicznego znajduje się dziś ponad 45% ogółu inwestycji w Indiach. Kapitał obcy kontroluje bez reszty produkcję juty, bawełny, węgla i ropy, przemysł żelazny i stalowy, hutnictwo, elektryczność i transport kolejowy oraz plantacje kawy i herbaty. W niektórych przedsiębiorstwach kapitał zagraniczny stanowi 60 — 80%. Londyński „Financial Times” stwierdza, że chociaż kapitał bry-

tyjski w Indiach stracił początkowo głowę w obliczu przemian politycznych, później jednak zdołał ustabilizować swoją pozycję. Według danych Indyjskiego Banku Emisyjnego przedsiębiorstwa brytyjskie kontrolują w 90% handel zagraniczny Indii.

Kapitał brytyjski postawił sobie za cel utrzymanie Indii w roli dostawcy surowców i rynku dla angielskich wyrobów przemysłowych. To też ani sam nie przedsięwziął, ani nie dopuszczał do powstania w Indiach jakiegokolwiek gałęzi ciężkiego przemysłu i w tym kierunku sprawował kontrolę nad bankowością i systemem kredytowym kraju. W rezultacie tak pomyślana niepodległość nie zapewniła rozwoju, lecz powodowała zastój i dalszy upadek.

W roku 1933 Pandit Nehru pisał: „Gdyby miejsce rządu cudzoziemskiego zajął rząd krajowy, ale pozostał nieknięty obce inwestycje, nie dałoby to Indiom nawet cienia wolności”. A jednak tak właśnie po ogłoszeniu „niepodległości” postąpił Pandit Nehru wraz z Partią Kongresową.

Obecny rząd Indii wielokrotnie określał swą politykę zagraniczną jako „politykę neutralności”. Rzekoma ta neutralność wyraża się w zerwaniu z obozem antyimperialistycznym, z którym nacjonalizm hinduski poprzednio sympatyzował. Rząd Indii jest dzisiaj w ręku najbardziej reakcyjnych czynników kraju związanych z blokiem anglo-amerykańskim. W kwietniu 1948 r. Nehru zarządził, by „na wszelkich uroczystościach grano „God save the King” (hymn angielski), a potem hymn indyjski”. Ta kolejność jest dokładnym wyrazem stosunków politycznych w Indiach.



Charakterystyczna jest polityka Waszyngtonu. W zamiarze stopniowego wyparcia z Indii imperializmu brytyjskiego skłoniono Nehru do wyrażenia zgody na inwestycje amerykańskie. Szybko też popłynęły kapitały z Wall Street, a równocześnie przybyli w znacznej liczbie amerykańscy „eksperti techniczni”, którzy zadanie ujawnił Acheson oświadczając, że ich celem jest poszukiwanie i opanowywanie źródeł surowców, których brak odczuwa Ameryka, a także zdobywanie rynków dla produkcji USA. Atak na Indie toczy się wieloplanowo. Na łamach znanego tygodnika „Satur-

day Review” niejaki prof. W. L. Werner kreśli program narzucenia narodom Indii języka angielskiego. Werner stwierdza, że przyjdzie to nie bez walki, gdyż Indie „nabrały wstrętu dla języka swych byłych władców”. Toteż „naszym pierwszym zadaniem jest dostarczenie tam tanich amerykańskich książek, tak, by Hindusi czytając po angielsku chłonili demokratyczne (sic!) idee amerykańskie”. Cel tej ofensywy jest aż nadto przejrzysty.

Popularność radzieckich zasad planowania gospodarczego zmusiła rząd Nehru do wystąpienia z własnym planem pięcioletnim. Założeniem jest tu napływ kapitałów amerykańskich, a więc dalsze oddanie w arenę niepodległości Indii. W związku z tym Nehru wyraził się myśli o nacjonalizacji, odrzucając wniosek Hirendranath Mukerjee, komunistycznego członka parlamentu Indii, aby zamieść zamierzonej pożyczki miliard dolarów z Wall Street przejął majątek Nizama Hyderabadu, najbogatszego człowieka świata. Jeden z przedstawicieli opozycji określił plan pięcioletni Nehru jako zdradę wszelkich nadziei narodu.

Opór przeciwko tej polityce zdrady, zafobania i nedzy i opór przeciw uciśkowi imperializmu w Indiach wzrasta z każdym dnem. Jaskrawym tego dowodem jest fakt, że z ostatnich wyborów Partia Komunistyczna wyszła jako druga z kolei najsilniejsza partia w kraju i wraz z szeregiem innych przedstawicieli postępu tworzy obecnie potężną opozycję w parlamencie. Dążenie do prawdziwej niepodległości własnej wywołuje żywe zrozumienie i sympatię dla walk wyzwolenia innych narodów kolonialnych oraz głębokie uczucia przyjaźni dla Związku Rad i Chińskiej Republiki Ludowej. Wyrazem tego było stanowcze żądanie wyparcia imperializmu z Azji i położenia kresu wszelkim wojnom toczącym się w krajach azjatyckich — żądanie postawione przez dr Saifuddin Kichlewa na Kongresie Pekinjskim.

Przed kilku tygodniami pod naciskiem Partii Komunistycznej i ludu hinduskiego osiągnięto wielkie zwycięstwo, gdy rząd musiał ogłosić zapowiedź utworzenia autonomicznego państwa Audhra. Było to uwiecznienie wielu lat wytrwałej walki o niezawisłość ludów języka Telegu. W parlamencie nowego państwa komunistów stanowiąc będą większość mając 47 członków, gdy Partia Kongresowa ma ich 39, a pozostałe stronnictwa należą do opozycji przeciw polityce rządu centralnego. Zadaniami, jakie stoją przed narodem Indii nie są łatwe. Ale przedstawiciele postępu gromadzą sily dla nowych akcji, pewni przyszłego zwycięstwa ruchu wyzwolenia narodu i społecznego, ruchu w którym dr Kichlew jest jedną z czołowych postaci. „Gdy czterysta milionów ludzi — pisze Hirendranath Mukerjee — zdobędzie wreszcie wolność — wyrwą z korzeniami kłóki i chwały zastane wśród nasych złościach pól i zwolają wszystkie narody świata na piękny i radosny obchód żniwa wolności”.

„Podobnie jak sercu matki przyrodzona jest miłość do dziecka, tak pokój powinien być główną cechą

stosunków międzyludzkich i między narodowych”. W tych słowach delegata Indii na Kongres Wiedeński, dr Kumarappa brzmi humanizm wspaniałej i starożytnej kultury tego kraju. Ale brzmi też wysoko rozwinięta świadomość społeczna i głębokie poczucie internacjonalizmu. Ow internacjonalizm płynnie z przeświadczenia, że tylko w oparciu o



kraje socjalizmu i ruchy postępowe całego świata, tylko w przyrzeczku z proletariatem wszystkich krajów i pod jego przewodnictwem Indie mogą zdobyć prawdziwą niepodległość, a ich narody wyzwolenie społeczne. Burżuazja hinduska, przerażona potęgą ruchów socjalnych, rzuciła się w objęcia reakcji i militarizmu, przeszła do obozu zerujących na wojnie monopolu. Stąd silny akcent społeczny ruchu pokoju w Indiach, stąd jego żarliwe dążenie do zacieśnienia węzłów przyjaźni z obozem socjalizmu, a przede wszystkim z narodem Związku Radzieckiego.

„Hindusi kochają naród radziecki — mówił Saifuddin Kichlew. — Niech nasza miłość rośnie i krzepnie. Jestem pewien, że przyznanie Stalinowskiej Nagrody Pokoju Hindusom przyczyni się ogromnie do szybkiego rozwoju ruchu pokojowego w Indiach”.

ZSRR, pokój, miłość i przyjaźń narodów — ten ciąg myślowy jest odbiciem najgłębszych uczuć szerokiej mas ludu hinduskiego. Pełnym ich wyrazem były słowa wypowiedziane przez dr Kichlewa w chwili, gdy w obecności ambasadora Indii otrzymał na Kremlu dyplom i złotą odznakę laureata: „Pragnę oświadczyć z tej historycznej trybuny, że żadna siła na świecie nie zdoła zmusić narodu hinduskiego do bezpośredniego, czy pośredniego udziału w jakiegokolwiek wojnie przeciw Związkowi Rad”.

George Bidwell

JEAN-PAUL SARTRE

Tworzymy Pokój!

Jean-Paul Sartre, jeden z czołowych pisarzy francuskich, zarzuca okólną drogą szedł do obozu pokoju. Nigdy do prawda nie żył sympatycznie dla imperializmu i reakcji, jego „neutralizm” polityczny i doprowadzona do krańcowości ucieczka od życia były z rzędu tych nagminnych w kulturze burżuazyjnej zjawisk, które rozbrajały i ułatwiały narastanie faszyzmu. Z wojny i okupacji wyniósł świadomość, że miłość w skądinąd słuszne są na zagładę. Ale skrajny indywidualista szukał rozwiązania na błędnych tropach lądując na mieliznach jeszcze jednej odmiany „trzeciej sily”. Dopiero racjonalny obuchem ponownej okupacji swej ojczyzny, okupacji Rządów i Eisenhowerów, zrozumiał, że nie jednostki, ale narody są siłą wiążącą w historii. Główny artykuł „Komunisty i pokój” (patrz „Wies” 48/52) był punktem zwrotnym. Sartre wyjechał do Wiednia i wziął czynny udział w Kongresie Narodów. Po powrocie, na wielkim wiecu w Paryżu wygłosił mowę, której ton główny jest dramatyczną przestrożką dla wszystkich, którzy wcielają się do wszelkich „neutralności”.

JEDEN z korespondentów prasy reakcyjnej, jeden z owych niezliczonych spryciarzy, doświadczonej, kutych na cztery nogi, skończył stwierdzeniem w swoim dzienniku, że kongres był „dość niezwykłym”.

Ja nazwałbym go po prostu „niezwykłym”. Gdyż to, co oglądałem w Wiedniu, w tym olbrzymim gmachu o wężym całym z błękitu, to był POKÓJ. Nie tylko daliśmy wyraz wobec naszych rządów naszej woli pokoju — myśmy stworzyli pokój. Przekroczyliśmy dotychczasowe granice i nieznane przyjaźni między ludźmi, Francuzi i Wietnamczycy, Chińczycy i Amerykanie, mogli się spotykać, rozmawiać, uśmiechać do siebie nie zdradzając swych krajów, nie zapominając o toczących się wojnach i cierpieniach ludów. A jeśli w Wiedniu obecna była nadzieja, to dlatego, że ujrzyliśmy nagle czym mogłoby być pokój i czym nigdy nie był: z g o d a.

Kongres Wiedeński? — mówi jeden z dzienników. — No tak, dużo tam mówiono. Kilka osób dało dowód swej niezależności; ale w końcu, cóż tam zrobiono? Uchwalono wnioski radzieckie, powzięto rezolucje ogólnikowe i znane z góry.

Otóż to jest kłamstwo o najwięcej. Nie dotyczy szczegółów, zniekształca całość wydarzenia. Dlaczego sprawdzać Kongres do rezolucji? A czyż jest niczym porozumienie, osiągnięte stopniowo, a które w ostatnim dniu wyraziło się frenetycznym entuzjazmem? Czyż niczym jest potwierażona raz jeszcze wola dalszej walki, ta świadomość ogólnoludzkiej, powiedziałbym, odpowiedzialności każdego? Doświadczanie jedności, spotkania... Olbrzymia praca wchłaniająca pokój świata dokonana w ciągu tygodnia...

A same rezolucje? To prawda, mogliśmy je przepisać pierwszego dnia, podpisaliśmy nawet we Francji przed wyjazdem. Czego to dowodzi? Ze wyrażają radziecki punkt widzenia? Nie — ale że są niezmiernie ludzkie i nikt nie może ich odrzucić, kto ma dobrą wolę. A jeśli to jest radziecki punkt widzenia — a sądzę, że tak jest — tym lepiej. Świadczy to bowiem, że Związek Radziecki chce prawdziwego Pokoju.

Ogólnikowe, mówicie? To znaczy, żeście ich nie rozumieeli. Myślicie, że ścisłość to drobiazgowo studiowanie map przez dyplomatów. Nie sprzeciwiamy się by dyplomaci regulowali sprawy dyplomatyczne. Ale tu chodzi o coś innego, o prawdy doskonałe ściśle a wielkie i proste. O prawdy nie techników, ale ludów, prawdy które rodzi sama sytuacja, rodzi myśl tych, co cierpią, prawdy które mają prostotę przysłów.

Oto w czym się wyraża myśl powszechności: jak długo się biją — biją się a nie rozmawiają. Jeśli chcecie rozmawiać, przestańcie się bić.

„Już tak było, a wynika...” Dobrze, mówią narody, zacznijcie jeszcze raz.

Każdy z Pięciu Wielkich mówi o pokoju. Trzeba ich przyprzeć do muru: niech zobowiążą się nigdy nie rozwiązywać żadnych spraw siłą oręża.

To pakt Briand - Kelloga, mówicie? Nic mnie to nie obchodzi. To przede wszystkim pierwsza ja s n a rzecz powiedziana od 1945 r. A oznacza po prostu: jeśli chcecie pokój, dajcie tego dowód.

Dzieciństwo, mówi dziennikarz — neutralista, cóż mnie obchodzi, że czeski szewc spotkał się z sycylijskim histonozem. Ja chcę, aby Schuman spotkał się z Molotowem. To byłoby poważne.

Odpowiadam: a jak zmusić pańskiego Schumana, by spotkał Molotowa? Czy ogłaszając głodówkę, jak Ghandi? Jak stosować waszą własną politykę neutralności, jeśli naród żąda tego narodu, jeśli naród francuski nie zjednoczy się wokół kilku prostych bardzo żądań? A jak ma zjednoczyć się naród francuski, jeśli pański dziennik jest słabym echem oszczerstw szerzonych przez inne pisma?

Świadcze, że Kongres Wiedeński był i pozostanie, mimo oszczerstw, zdarzeniem historycznym. Świadcze, że przedstawiciele ponad 70 narodów spotkali się tam i porównali swoje poglądy nie tylko w całkowitej wolności, ale i w całkowitej przyjaźni. Świadcze, że zostali się z wolą dalszego działania i nadzieją osiągnięcia celu. Świadcze, że Pokój, którego żywy wzrost bezpośrednio widziałem, jest czymś więcej, niż prosty brak wojny i że może stać się nową chwałą i nową więzią pomiędzy ludźmi.

Jean-Paul Sartre

M. TURSUN-ZADE (Tadżykistan)

INDYJSKA BALLADA

Było niegdyś przed laty — jak mi dziad opowiadał —
W Samarkandzie — lecz dziś byś nie potwierdził słów dziada —
Opowiadał mi dziad i sam w książkach czytałem —
Było miejsce, nazwane „zarazonych kwartałem”.

Za ementarzem pustkowią zagrodzone chroniły
Ludzi bardziej nieszczęśliwych od mieszkańców mogiły.
Zapomnieli ich bliscy, zapomniela rodzina.
I umarli dla życia, choć nie przyszła godzina.

Jeśli który z biedaków chciał się udać do miasta,
To szedł z dala od drogi, to szedł polem i trzaskał
W takt drewnianą kołatką, krzycząc wciąż nieprzytomnie:
„Nie zbliżajcie się do mnie, nie zbliżajcie się do mnie!”

A gdy który kołatkę nie mógł kupić na tasach,
To się sznurem parcianiem dla przestrogi opasał
I zawiesił na szyi tani dzwonek i dzwonił:
„Od za-ra-zy masz stro-nić, od za-ra-zy masz stro-nić!”

Tak bywało przed laty — dzieciom dziad opowiadał —
W Samarkandzie, lecz dzisiaj nie potwierdzisz słów dziada.
Dzisiaj sam już nie młody, rad gromadzę wkrag dzieci,
Opowiadam im dziwy z mej włóczęgi po świecie.

Za szczytami Hindukusz, Himalaju ścianami
Zapoznałem się niegdyś z baśniowymi krajami.
Tam owoców bez liku, skarby wielkie i cenne,
Tylko w oczach mieszkańców wciąż ciemności bezdenne.

Opowiadać o wszystkim, na to czasu za mało,
Jeszcze wiele wieczorów na gawędę zostało.
Nie opowiem wam dzisiaj o grobowcach z marmuru,
Ni o szatach śpiewaczek, rzekłbys tkanych z lazuru,
Ni o radzach — ta bestia od tygrasa jest dziksza,
Ni o dufnych próżniakach i taseczkach ich riksaczach,
Ni o słońcach jak śniegi, ni o jarmię człowieka,
Ni o chlebie wieśniaka, który z gliny wypieka.

Dziś wam za to o rzeczy najstraszniejszej opowiem,
O milczących cmentarzach, w których żywy tkwi człowiek.
W tej baśniowej krainie żyją, między innymi,
Czyszciciele podwórz i targowych podcieni,
Gałganiarze, kopacze — wygłodzona golota —

Ci, co schodzą za darmo w jamy kopalń i w błota.
Jest to plemię osobne, w nim zaś grupy niemałe,
To są kasty najgorsze, w mrokach wieków powstałe.

Jak naszości przestępcy chodzą brzegiem chodnika,
Ich nie wolno dotykać, ich nie wolno dotykać!

Zastraszony, złamany staruch dzieciom coś plecie —
Od kolyski do ciebie nie uśmiechnie się dziecię —
„Wiedz, na członka twej kasty do lat setek jak gada
Nikt nie spojrz bez wstrętu — tak im dziad opowiada —
Wiedz, że człowiek twej kasty nie dla życia się rodzi,
Że z tym nawet angielski biały sahib się godzi,
Gdy stóp enego bramina doknieiesz cieniem przeklętym,
Bramin plunie na ciebie i odskoczy ze wstrętem,
Jeśli rączkę tramwaju ująć dłonie twe śmiały,
Zarazony jest cały, zarazony jest cały.”

W tej baśniowej krainie byłem z druhów mych kołem,
Raz dziwnego przybysza w moich grochach podjąłem.
Czemu on nie usiądzie, lecz dygoce wciąż cały?
Czemu ręk nie wyciągnie w ciężkiej pracy zgrubiałych?
Lecz jak jeleń w obławie radby zaszyć się w cieniach?
Rzekł mi wtedy „Pochodzę z wyklętego plemienia...
Więść o naszym spotkaniu pokoleniom przekażę”.

I udałem się do nich, na ich żywe cmentarze.

Nie zapomnieć mi nigdy tamtych zwierzeń nieśmiałych,
Tych ich powiek czerwonych, skąd lzy grube spływały,
Owych rąk wychudzonych od udreki i głodu,
Wyciągniętych do braci z radzieckiego narodu...

Za szczytami Hindukusz, Himalaju ścianami
Zapoznałem się niegdyś z baśniowymi krajami.
Tam owoców bez liku, skarby wielkie i cenne,
Tylko w oczach mieszkańców wciąż ciemności bezdenne.

Kiedy wyjdzie z uśmiechem ze swych cudnych pokoiów
Ten obłudnik, opiekun tamecznego ustroju,
Niechże lud się od niego jak od trądu odgradzi:
— Zarazony przechodzi, zarazony przechodzi!

Z cyklu „Wiersze o Indiach”
Przeł. Tadeusz Chróścielewski

JAN KOSICKI

REFORMA OBROTU TOWAROWEGO NA WĘGRZECH

W tych pierwszych dniach, jakie dziela nas od Uchwały Rządu z dnia 3 stycznia, kiedy przenosimy jej wytyczne w teren, kiedy zaczynamy wcielić ją w życie — nie od rzeczy będzie, jeśli przypomnimy i przedstawimy Czytelnikom reformę analogiczną do naszej, jaką w Węgierskiej Republice Ludowej podjął Rząd w dniu 2 grudnia 1951 roku *).

*

W jakich warunkach została wprowadzona na Węgrzech reforma obrotu towarowego? Rok 51. był to już drugi rok 5-letniego Planu Rozwoju Gospodarki Narodowej. I dał on o sobie wyraźnie znać tak w przemyśle, jak w rolnictwie. Toteż sekretarz generalny Węgierskiej Partii Pracujących, *Matyas Rakosi*, referując Projekt Reformy na Plenum Partii w dniu 30 listopada 1951 roku, wielokrotnie podkreślał znaczenie historycznego przeobrażenia się Węgier z kraju rolniczego w przemysłowo-rolny.

Jeśli bowiem w r. 1949 — pod koniec Planu 3-letniego — produkcja przemysłowa osiągnęła 150 proc. poziomu przedwojennego, to w listopadzie 51 r. — już 250 proc., a tempo produkcji w stosunku do pierwszego roku 5-letniego planu wzrosło o 29,1 proc. Każdego miesiąca podnosił się stan zatrudnienia w przemyśle o 21 tysięcy ludzi — przeciętnie, co w jednym tylko roku oznaczało przybór czterech milionów nowych pracowników. Jeśli wspomnieć jeszcze choćby najkrócej o wielkiej rekonstrukcji bazy przemysłowej, o nowych — podobnie jak u nas — kombinatach i gigantach, wznoszonych na węgierskim „placu budowy”... O Naddunajskim Kombinacie Metalurgicznym, gigantycznej elektrowni w Inot, 110-kilometrowym Kanale Dunaj — Cisa... otrzymamy obraz kraju i narodu węgierskiego w przemysłowym okresie przemian, już pozwalających określić Węgierską Republikę Ludową, jako państwo przemysłowo-rolne, sukcesywnie ugruntowujące i rozwijające podstawową dźwignię socjalizmu.

W tymże, 51 roku, rolnictwo otrzymało nowych 3000 traktorów, co razem — w 361 osrodkach maszynowych — tworzyło już park 6895 traktorów. Otrzymało nowych 1250 sнопowiązań, 850 młocarni, 850

* Przypominamy, że w poprzednim numerze „Wiś”, ogłosiliśmy artykuł „*Rynek — regulująca rola państwa — interesy chłopów*”, omawiający znaczenie Uchwały Rządu z dnia 3 stycznia dla rozwoju naszej gospodarki. (Redakcja).

maszyn do składanie zboża w sterety, 990 żniwiarek i tysiące innych maszyn, przeobrażających technikę produkcji rolnej. Przeprowadzone były w tym roku roboty irygacyjne na wielkich obszarach, co w warunkach klimatycznych Węgier — stałe zagrożenie suszą — ma wielkie znaczenie.

O rozmachu produkcyjnym chłopstwa świadczył stopień wykonania zobowiązań wobec Państwa. Na 3 miliony chłopów indywidualnych już do listopada 51 roku około pół miliona wykonało pełny plan skupu, a 130 tysięcy w 200 proc. Rekord — i doprawdy niezwykły — były tu spółdzielnie produkcyjne, które skup zwały w wysokości sięgającej często do 1000 proc., tzn. dziesięć razy przewyższającej obowiązkowy plan.

więc nie z nadmiarem, jaki cechuje nasze socjalistyczne budownictwo. Niedostateczna okazała się dyscyplina pracy. Fakt ten w części tłumaczył proces gwałtownego podboju ludzi na wielkie budowy i do przemysłu. Praca szukała ludzi a nowozaczeni mieli jeszcze tendencje do plynności, do przenoszenia się z miejsca na miejsce, co sprzyjało uchylaniu się od rygorów pracy, norm i obowiązków. Proces wdrażania w dyscyplinę socjalistycznej pracy dopiero się rozwijał, a wymagał również ugruntowania warunków do ekordowej pracy, do wytworzenia się powszechnego i konsekwentnego przekonania wśród pracujących, że tylko zwiększenie wydajności daje większe dochody (osobiste) i daje je na ustabilizowanej podstawie dla re-

wy uruchomione być mogą w pełni dopiero w spółdzielczej produkcji. Ten kierunek, jak wskazywał na to rok 51, nabierał już dużego znaczenia na Węgrzech. Długo wskazywała na wagę dopełnienia niesionej pomocy indywidualnym gospodarstwom zadaniami wzmoczenia rozwoju spółdzielczości produkcyjnej i umocnienia wydajności wielkich Gospodarstw Państwowych.

*

Trudności, jak łatwo się domyśleć, rosły na rynku i wokół rynku, w tym ogniwie spójni ekonomicznej między klasą robotniczą a chłopstwem.

„Przed wyzwoleniem i w ciągu kilku lat — mówił Rakosi — Węgry były w zasadzie krajem rolniczym”. Niska więc była jeszcze zdolność nabywczą mas pracujących i w związku z tym i charakterem rolniczym (a w przedwojennych warunkach — kraju nędzy mas chłopskich) — nisko też zostały ustalone ceny produktów żywnościowych. W roku bowiem 46, gdy wprowadzona została mocna waluta, ustalono stosunek cen, pasujący jeszcze dla kraju rolniczego, który cechowała niska stopa życiowa mas pracujących. Ale w latach następnych nastąpiły gwałtowne zmiany. „*Ojczyzna nasza* — mówił Rakosi — z kraju rolniczego przekształciła się w kraj przemysłowy i industrializacja postępuje szybko naprzód”.

Te przeobrażenia — podobnie jak u nas — zmieniły strukturę klasową Węgier. Powiększyła się klasa robotnicza i miasta. Zniknęło bezrobocie. Chłoptwo nawet na miejscu, na wsi, weszło w części w położenie chłopów-robotników. „Praca szukająca ludzi” podniosła dochodowość rodzin robotniczych i chłopskich, reforma rolna dała ziemię prawie jednej trzeciej chłopów, którzy za rządów Horthy'ego głodem przymierali przed wojną. Polityka kredytowa i podatkowa państwa, jego wszechstronna pomoc niesiona mało i średniorolnym postawiła ich na nogi. Stałe pogłębianie spójni gospodarczej między klasą robotniczą i chłopstwem nie tylko w zakresie „*perkalu*” ale i w „*metalu*”, szczególnie w okresie rekonstrukcji przemysłu i wielkiego Planu 5-letniego, który również jak u nas, i na Węgrzech jest planem budowania podstaw socjalizmu — wzmocniły warunki dla podnoszenia wydajności, a więc i dochodowości chłopów. W wyniku po obu stronach i w klasie robotniczej (powiększonej) i w chłopskiej wzrosła zdolność nabywczą, wzrosła tendencja do podnoszenia stopy życiowej i jej rzeczywiste podnoszenie. Na wsi odbiło się to na zmniejszeniu produkcji towarowej,

(dokończenie na str. 7)



Zarząd Spółdzielni Produkcyjnej Mal. Bencze Laszlo

Ale też — nowym w 51 roku był właśnie dalszy przyrost spółdzielni produkcyjnych i umacniania się PGR-ów. Pod koniec roku PGR-y obejmowały 9 proc. obszarów ornych w kraju, spółdzielnie produkcyjne — w ilości 4652 — 15,6 proc. Oznaczało to, że obszar zasiewów układu socjalistycznego osiągnął 24,6 proc. gruntów ornych kraju i że coraz bardziej wagi w produkcji towarowej, w możliwościach nagromadzenia rezerw, ubezpieczenia uprawizacji miast i wpływania na kształtowanie się cen rynkowych.

*

Ale przy tych sukcesach i dynamice produkcyjnej w bilansie roku 1951 po stronie produkcji przemysłowej za pierwsze 10 miesięcy Plan zrealizowany został w 99,3 proc., a

alnej wartości pieniądza na rynku zakupu.

Również w rolnictwie (jeszcze przy 75 proc. indywidualnej gospodarki), aczkolwiek osiągnęło ono w 1951 roku — 116 proc. w porównaniu z poziomem przedwojennym — dysproporcja między jego rozwojem a rozwojem przemysłu wskazywała nadal na nadmierne opóźnienie się rolnictwa. Wskaźniki bowiem mówią: rolnictwo 116 proc. — przemysł — 250 proc.

Gdzież zatem powstała trudność wspólna dla przemysłu i rolnictwa, która hamowała wyraźną mimo wszystko dynamikę wzrostu produkcji w obu dziedzinach gospodarki narodowej? Pytamy o trudność wspólną — przejściową — bo jeśli idzie o rolnictwo, jego możliwości i rezer-

WACŁAW PALIK

KILKA SŁÓW O ZAMOŻNYM ŚREDNIAKU

JUZ na VII Plenum zwracał uwagę Bolesław Bierut na to, że w przepompowywaniu części dochodów klasy robotniczej do wsi, bierze również udział zamożniejsza warstwa średniaków. A że proces ten odbywał się poprzez rynek — równoległe do zaopatrzenia reglamentowanego — nabierał cech drapieżności w polegającym podbijaniu cen. Zamożny średniak posuwał się tu bowiem po drodze, którą torował kułak i spekulant.

Posuwał się oczywiście w różnym stopniu, ostrożniej, bardziej oględnie, pełen skrupułów, ale dopóki z tej drogi nie został zmieciony prąd anarchii wolnorynkowej — kułak i spekulant, dopóki sama droga nie została przebudowana — „zamiast tego, aby w słusznym i uzasadnionym zakresie wieś szczególnie zainteresowana w uprzemysłowieniu kraju również przyczyniała się do akumulacji socjalistycznej — zaznaczył się proces odwrotny: przepompowywanie części dochodów klasy robotniczej do wsi, gdzie docodv te głównie zasilały kułaków i zamożniejszych średniaków, dysponujących największymi nadwyżkami towarowymi”.

Proces ten rozwijał się poprzez wolny rynek, w „towarzystwie” i pod naciskiem kułaka i spekulanta. Toteż zamożny średniak żarzący wzmaganem żywiołowości na wolnym rynku, mógł brać zachętę do marzeń o „pofolgowaniu” mu na tej drodze, do projektów i żądań, by w produkcji na swoim gospodarstwie mieć bardziej „wolną rękę”.

Uchwała Rządu z dnia 3 stycznia kładzie między innymi kres i temu zagrożeniu, które część zamożniejszego średniaka mogło przybliżyć do kułaka i popychać do wzmocnienia kapitalistycznych elementów na wsi, te mianowicie, która nadwyżki nie lokowała w ponadplanowym skupie i kontraktacji, ale przenosiła prawie w całości na rynek rozbójniczych cen.

„Obecnie przegrupowujemy swoje siły, aby u nowym s-yku skuteczniej bić wroga klasowego, rozgromić spekulanta, zabezpieczyć pełne urzeczywistnienie Programu Frontu Narodowego...” — oświadczył Edward Ochab w przemówieniu, wyjaśniającym cel i zadania Uchwały Rządu. Zamożnemu średniakowi idzie więc Uchwała z pomocą w oderwaniu się od kułaka i spekulanta, w otrzymaniu się z wpływów, które narażały na niebezpieczeństwo spójni gospodarczą między klasą robotniczą i chłopstwem. Do wyzwolenia i wzmoczenia w nim tych sił produkcyjnych, przy pomocy których i on się przyczyni do nagroma-

żenia rezerw towarowych, rezerw rolnych, jakie państwo mogło rzucić w walny bój z elementami kułacko-spekulacyjnymi.

Zniesienie reglamentacji, uregulowanie cen towarów przemysłowych i rolnych na poziomie rynkowym i rozzerzenie wolnego rynku na produkty rolne, zadają druzgocący cios anarchii i rozwydrzonej spekulacji na rynku. Zmierzają z niego kułaka i spekulanta, jako przechwytywaczy części dochodu klasy robotniczej i chłopstwa pracującego; przenoszą część tego spekulacyjnego dawniej zysku na rzecz akumulacji socjalistycznej, uwalniają produkcję rolną i przemysłową od rynku paskarsko - spekulacyjnego i wstrząsów, przez co wzmocnione zostają bodźce do wzmocnienia wydajności pracy w rolnictwie i przemyśle.

Zwycięstwo to staje się możliwe dzięki temu, że choć elementy kapitalistyczne poprzez rynek hamowały i obstabiły napięcie produkcyjne klasy robotniczej i chłopstwa, dynamika wzrostu produkcji w przemyśle i rolnictwie na tyle jednak przewyższyła utrudnienia i straty, że z nagromadzonymi rezerwami można było wreszcie stanąć do rozstrzygającego boju. Uchwała Rządu z 3 stycznia dała hasło, plan, środki i sformowała w nowym szyku nasze siły, aby rozgromić wroga klasowego i zabezpieczyć trwałe podnoszenie sił gospodarczych i obronnych naszego kraju, zabezpieczyć podnoszenie dobrobytu i kultury mas pracujących.

Zamożny średniak brał więc w ostatnich latach udział równocześnie w dwu przeciwstawnych sobie procesach. W klimacie wzmaganego żywiołowości i anarchii paskarskiej na rynku dochodził do znacznego wzrostu swych dochodów. W produkcji zaś podnosił swe plony, wierny hasłu „więcej z hektara”. Ale ta sprężność mogła być zniesiona albo na rzecz produkcji, albo na rzecz rynku spekulacyjnego.

To więc, co zagrażało zamożnemu średniakowi, to przejęcie kułackiego hasła „więcej za hektar” na miejsce „więcej z hektara”, w konsekwencji obniżenie produkcji... Zagrożenie zostało unicestwione... po stronie wsi siłami mało i średniorolnych chłopów, spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów.

Siły te nagromadziły rezerwy towarowe i do boju rozstrzygającego o dalszy wzrost wydajności stały pełne dynamiki i rozmachu produkcyjnego.

Wacław Palik

* Bolesław Bierut — Przemówienie na VII Plenum Partii.

KRYSTYNA PALYS

SPRAWA JEDNEJ KĘPY

W czasach, kiedy księżna Izabella Czartoryska przebiegła w otoczeniu rozszczębiotanych dam ścieżki puławskiego parku, ciągnąc za sobą na atlasowej wstążce białą owieczkę z dzwonkiem u szyi, albo swobodnie wznosząc nastrojów w „Świątyni Sybilla”, o trzy kilometry dalej, nad brzegiem Wisły rozgrywała się chłopiska tragedia. Woda rwała i rwała całymi latami. Zabierała ziemię z Wólki i niosła na drugi brzeg, na pola kieleckiej wsi Łęki, rozsiadła na nadwiślańskich madach. Z czasem powstała na środku rzeki niemała, 250 ha wyspa. Na naniesionym piachu osiadł po każdej powodzi żyzny muł. Wiatr nasał na madzie nasienie topoli, jałowca, olchy, sosny i wierzby. Drzewa zapuszczały w kępę coraz głębiej korzenie, a w chłopskich sercach korzeniła się coraz bujniej nienawiść.

— Nasza ziemia na kępie, woda ją tam zaniosła — powtarzali dziadki i ojcowie Wydrów, Sikorów i Rutkowskich z Wólki.

W obu wsiach czekano każdej wiosny na dzień, w którym zazienieli się trawa na wyspie. Łęczanie wypędzali wtedy co prędzej bydło ze stajni i wieźli łodziami na wyspę. Wólka miała bliżej do kępy, pędziła je więc o dzień przez płytszą odnogę. Nienawiść ludzka znajdowała ujście w drobnych złościwościach. Łęczanie zajmowali krowy chłopom z Wólki, a pastersze z Wólki chwytali, gdzie mogli, bydło łęckie i zapędzali do swoich zagród. Nie było w Łęce i Wólce w tych czasach chłopca, baby, a nawet dziecka, żeby nie patrzyli na siebie nawzajem z nienawiścią.

Chłopom z Wólki stały w oczach łęckie mady. — Chciwce, ziemię mają jak masło, a na kępę pchają się. Cóż my, biedacy mamy począć na naszych piachach?

Wioska rzeczywistnie była wciągnięta pomiędzy las państwowy z jednej a rzekę i trakt z drugiej strony. Trzech najbogatszych gospodarzy uprawiali po trzy hektary ziemi, reszta musiała się zadowolić kilku dziesiątkami arów. Półtora setki rodzin gnieździło się w piachach. W 1913 r. w Wólce złożyli chłopci ostatni grosz i poszli do adwokata, Wólka przedłożyła w

sądzie plany z 1848 roku, na których kępa była wyrysowana w granicach gromady. Łęka dostarczała znów planów z czasów uwłaszczenia, gdy wyspa zaznaczona była po stronie kieleckiej. Nie zrażało to chłopów z Wólki, dowodili, że podczas „ukazów” co bogatsi Łęczanie przekupili carskich geometrów i dlatego wyspa znalazła się na ich stronie.

Proces toczył się całymi latami. W czerwcu 1937 roku nie licząc się z tym chciano w Łęce przeprowadzić komasację. Dwóch mierniczych przepłynęło łódką rzekę i zabrało się do rozstawiania na kępie swoich instrumentów. Nie upłynęło nawet pół godziny, a już okrzyki ich gromady chłopów z Wólki.

— Zabijajcie swoje trójnogi i taśmy — huknął któryś kryjąc się za plecami najbliższych. — Nie będziecie mierzyć naszej ziemi!

Tego samego dnia pastuch łęcki Jan Woszczyk posełdł wieczorem na brzeg wyspy łowić ryby. Zaszły się między jałowce i zanurzył podrywkę w wodę. Wieczór był ciuchy, woda tak spokojna, że widział w niej gwiazdy roziskrzone nad głową. Połów zapowiadał się nie najgorszy. Wyciągnął już trzeci raz z wody sieć i za każdym razem wrzucił do kosza trzepocącą się nerwowo rybę, gdy po wodzie zaczęły się ślizgać jakieś odbłaski.

— Księżyć wschodzi? Przecież jeszcze nowiu nie było! — zastanowił się chwilę, a potem tknięty złą myślą poderwał się na nogi, wyciągnął szyję nad jałowcami i zdębiał. Ze środka kępy strzelały w górę płomienie.

Odtąd nie było dnia wolnego od jakiegis złościwości, a proces toczył się kolejno w Siedlcach, Radomiu i Lublinie. W sądzie próbowała godzić przeciwników, ale Wólka uparla się. — Cała kępa do nas należy, nie będziemy z nikim dzielić się.

W Łęce zakapiąto. — Jak to, my dejmy po dobroci połowę, a gołcy z drugiego brzegu mają jeszcze za maro? My im pokazemy, kto jest gospodarzem wyspy! Jest u nas Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej, czy nie? Potrzebuje świętyci, czy nie? Zbudujemy ją z drzewa, które wyrosło na kępie. Zetniemy nasze topole i sokory.

Pierwszego lipca 1937 roku czterem chłopów popłynęło łódkami ścinać drzewa. Teraz każdy chwycił co było pod ręką i pędził nad rzekę. Ładowali na wy-

spie pod gradem kamieni. Do nośne hurraaa! było sygnałem do rozpoczęcia bitwy. Prowadził Antoni Wasiak, a za nim sunął Piotr Sikora mierząc ze sztucera w środki łachy. Zagrzmiąto kilka strzałów, które ubrożeńych w kocy i widły poderwało naprzód. Z przeciwnej strony na czoło frontu łęckiego wysunął się olbrzym Bochra. Dźwigał przed sobą przedpotopową fuzję, na której widok duch obojwoy opuścił naspastników. Zaczęli cofać się w



Mal. S. Michałowksi

popłochu nie bacząc, że stary Antoni nie może nadążyć i zostaje w tyle. Wtedy doskoczył do niego Woszczyk i mając za plecami swoich rąbną łachę przez głowę wioślem. Antoniaki nawet nie jęknąłszy zwałił się na piasek. Uderzenie Woszczyka poprawił Miziak widmami. Pawłowski dołożył kijem okutym w żelazo, a jego brat walił na oślep topolowym kołkiem. Ale, że w chłopie twarda dusza (Antoniaki poruszył się), Bochra dołożył mu jeszcze raz wioślem w tył głowy.

Wkrótce po tym do Wólki wpadł zziąjący chłopak.

— Łęczyckie ścinają na kępie tople i sokory! — darł się na całej gardło. Jego krzyk podzielał jak

piasek. Kosmali udalo się przytrzymać Mariannę Piaseczną. Nie bacząc, że ma babę pod ręką kroplil ją bez miłosierdzia widłami po chudych plecach. Miziak posełdł w jego ślady i młócił kosą grzbiot Rutkowskiej. Oglądając się za siebie Cebula i widząc co się dzieje, weszła wielki lament: „Pawle! Waszą żonę bij!”

Wólka zawróciła ratować baby. Rutkowskiej dopadł Mizak i odplacił mu żelazną łaską za pobicie żony. Piaseczny mu pomagał zadając cięsy obuchem siekiery. Siwek puścił w ruch swoją łusniankę, zakończoną żelaznym kółkiem, a reszta biła motykami i palicami, chociaż Mizak z rozpiętą głową dawno nie dawał znaku życia.

— Za te pieniądze, które dałśmy adwokatowi zarobić, kupiły nie jedną, a trzy kępy — mówił dziś Wydra, kotlarz ze stoczni.

*

Chłop z Wólki trzymał się pazurami kępy na Wiśle, ponieważ nie widział żadnego wyjścia ze ślepej ulicy, w którą go zapędził dawny system gospodarczy. Pastwisko na kępie było dla niego sprawą „być albo nie być”.

— We wsi robilo się coraz ciśnień — mówi Wydra. W chałupie przy miskach był coraz większy tłok, a co było do nich kłasić, skoro ruszyły się poza wieś nie było gdzie? W Puławach rejestr głodujących obejmował 100 nazwisk, a na cały przemyśl w powiecie składały się 3 tartaki, 1 cukrownia potentata finansowego Broniewskiego i 80 kułackich wiatraków. Jeśli ktoś dostał

się na krótki czas do roboty przy naprawie toru kolejowego, albo do ścinania drzew w lesie, a w nocy łowiło się ryby w Wiśle. Trzech krawców z Wólki i dwóch malarzy pokojowych, dłużej siedzieli we wsi jako bezrobotni, niż pracowali w mieście.

Po wojnie zbudowano pod lasem fabrykę i połowa wsi dostała pracę na budowie, a druga połowa stanęła do produkcji. Kto nie poszedł do fabryki, znalazł miejsce w puławskim PZGS-ie, w Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, w Państwowym Instytucie Weterynaryjnym, albo w majątku doświadczałnych Michałów. Sprawa ziemi przesunęła się niepostrzeżenie na drugi plan. Dawny sołtyś Mateusz Kroczek, który przed wojną razem z Marianem Sikorą prowadził proces z Łęką, siedząc o dnia na rowerze do fabryki w ciemnym mundurze portiera. Dzieci uczestników bitwy na kępie są przodownikami pracy. Na listach robotników fabrycznych widnieją nazwiska Rutkowskich, Wydrów, Sikorów. Młody Pawłowski ożenił się z dziewczyną z Łęki i żyją we wielkiej zgodzie Wygasa nienawiść, bo władza ludowa pokazała chłopu wyjście ze ślepej ulicy nędzy. Może zarobić na życie, nie trzyma się kępy pazurami, a Wólka powoli przeistacza się w robotniczą dzielnicę Puław. A rzeka jest inna i będzie jeszcze inna.

— Rzece zaczęliśmy zastępować drogę — mówi kotlarz, wskazując wyłożony kamieniami na zakrętach brzeg i wybiegające w wodę kosy. W języku służby wodnej nazywają się one „ostrogami”. Inżynier-racjonalizator wynalazł nowy sposób budowania takich zapór, o które rozbija się nurt rzeczny i traci na siłę. Kładzie się je z wklonowych „materaców” obciążonych kamieniami.

Komitet Gospodarki Wodnej Polskiej Akademii Nauk przystąpił do opracowania planu budowy wielkich inwestycji wodno-melioracyjnych, przewidzianych programem Frontu Narodowego. W tych planach znajduje się zapora, o której mówi się na Lubelszczyźnie ostatnimi czasy. Stanie ona na środkowej Wiśle i zatrzyma 2 miliardy metrów kubicznych wody. Zamknienie w zbiorniku, głębokim na kilkanaście metrów, straszyła siłę, tak że spietzenie sięgnie aż po San. Zywiol, który hulal kiedyś bezkarnie, zaprzęgnie człowieka do swojej służby.

Krystyna Palys

Laureaci Nagrody Stalinowskiej WANDA KARCZEWSKA

JOHANNES R. BECHER

„Piękno ojczyzny
O ileż piękniejsze
Byłoby jeszcze,
Piękne z pięknym włązać
We wszechpojętnym hymnie
piękność —
Gdyby pięknu
Ład służył
Wszystkim niosący szczęście
Oslaniający pokój
Po wsze czasy”.



TO słowa, streszczające motywy przewodni walki i twórczości jednego z najwybitniejszych poetów demokratycznych Niemiec, Johanna R. Bechera, którego nazwisko widnieje na liście siedmiu laureatów zaszczytnej Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Becher zasłużył na nią całym swoim życiem wielkiego patrioty i internacjonalisty, płomiennego bojownika o szczęście ludzkości; wytrwałego uczestnika walki proletariatu niemieckiego; znakomitego twórcy niemieckiej poezji antyfaszystowskiej, uosabiającego w swych dziełach wszystkie najlepsze cechy wielowiekowej kultury narodowej postępowych Niemiec. Nagroda Stalinowska uczciła w nim godnego przedstawiciela odrodzonych Niemiec, reprezentanta najlepszych dążeń narodu niemieckiego, którego współczesny wkład w dzieło walki o pokój jest olbrzymi. Becher to autor szeroko popularnych utworów, opiewających szczęście socjalistycznej ojczyzny, głoszący idee zjednoczenia Niemiec; to jeden z najbardziej ulubionych ludowych poetów nowych Niemiec.

Droga twórcza Bechera, której uwieńczeniem jest najzaszczytniejsze miano „poety pokoju”, nie była łatwa. Becher wyszedł ze środowiska mieszczańskiego debiutował w kręgu tak młodych przed pierwszą wojną imperialistyczną ekspansjonizmu, którego ślady długo jeszcze przetrwały w jego twórczości. Wytrwał w walce z tymi obciążeniami świadomości i ideologii absorbuje poetę w pierwszym okresie działalności literackiej. Od początku jednak poezja jego przesycona jest nienawiścią do militarystycznej tępoty i okrucieństwa wilhelmskich Niemiec (która później znajdzie tak dojrzałe podsumowanie w powieści z r. 1940 p. t. „Pożegnanie”), buntem przeciwko imperialistycznej rzeczywistości. Cechuje go jeszcze wtedy drobniomieszczańska bezsilność; nie umiejąc odnaleźć pozytywnych dróg wyjścia, Becher ogranicza się w swojej wczesnej krytyce do bezradnej negacji, anarchicznej chęci burzenia. A jednak, tak jak dla wielu innych wybitnych poetów niemieckich, od tej nieporadnej krytyki imperializmu, prowadzący dla Bechera drogi w przyszłość. Wstrząsem stała się wojna imperialistyczna 1914 roku, kiedy Becher odmówił udziału w światowej rzezi. Prawdziwy przełom przyniosła Wielka Rewolucja Październikowa. Poeta coraz silniej wiązał się z proletariatem; idee jego wyzwoleńczej walki coraz mocniej przesycały twórczość Bechera. W roku 1925 ukazuje się jego książka pod symbolicznym tytułem „Trup na tronie”; poeta obnażał cyniczny fałsz „republikanckiego” oszustwa, które torowało drogę nadchodzącemu faszyzmowi. W innych swoich utworach z tych lat Becher demaskował podstępne wojny imperialistycznych (opowieść z 1926 r. „Bankier jedzie na pole bitwy”); ukazywał życie proletariatu, który „zmiecie stary świat” („Głodne miasto”, 1927); smagał bezlitośnie burżuazyjnych wyszkowaczy. Jednocześnie Becher niejednokrotnie w tych latach dawał wyraz temu uczuciu, które później streścił w tym pięknym powiedzeniu: „Czy człowiek wykazuje zrozumienie dla nowego, które pojawiło się na świecie i czy w nim samym dokonuje się przemiana — wedle tego należy sądzić, jak wielkie okazał staranie, aby znaleźć prawdę o Związku Radzieckim”. Na tej drodze powstały takie utwory Bechera jak znakomite poematy „U grobu Lenina” (1924) i „Wielki plan” (1931, hymn na cześć pierwszej pięciolatkowej radzieckiej), głębokie dowody internacjonalizmu poety, jego umiłowania nowego świata. Jednocześnie Becher poszukuje nowych form postępowej liryki — walczy przede wszystkim o klarowność i komunikatywność utworu; poezję pragnie wydoskonalić jako najbardziej piękną narzędzie agitacji i propagandy w walce przeciwko faszyzmowi. Tytuł zbioru jego wierszy („Au wand zu leben”), „Do przyklejania na ścianie” najlepiej wskazuje kierunek tych poszukiwań nowych form poezji antyfaszystowskiej, umiejętnie operującej bojową pieśnią, krótkim hasłem, ubranym w poetycką szatę i przyklejaną na murach fabryki. Rola Bechera w wykonaniu tej niestępliwiej, zawsze walczącej poezji, była olbrzymia.

Poeta o takiej przeszłości musiał emigrować w dniach doświadczenia hitlerowskiego do władzy Przejmował w Austrii, Czechosłowacji, Francji, w latach 1935 — 45 w ZSRR. Nie zaprzestał jednak nigdy walki. Jego poezja opiewa teraz bezimiennych bohaterów antyfaszystowskiego podziemia niemieckiego („Człowiek, który milczał”), przypomina o nieugiętej postacie najlepszych przedstawicieli narodu, piętnuje faszystowskich bandytów. Socjalistyczne bu-

downictwo ZSRR przydaje nowych tonów jego poezji, warunkuje jej wzrastającą dojrzałość. Ukazują się takie znakomite zbiory Bechera, jak „Człowiek, który wyszukał szczęścia i siedem grzechów” (1938). W poemacie „Drewniany dom” poeta zarysował przyczyny dojścia hitlerowców do władzy. W r. 1940 ukazała się jego powieść autobiograficzna „Pożegnanie”, przedstawiająca społeczeństwo niemieckie w przeddzień pierwszej wojny światowej. W latach Wielkiej Wojny Narodowej Becher wszystkie swoje nadzieje związał z Czerwoną Armią, z nienawiścią i gniewem piętnując najazd faszystów (tom „Pochód barbarzyńców” z 1942). Nitychmiast po klęsce faszystowskich Niemiec Becher wraca do Ojczyzny. Tu rozpoczyna przede wszystkim pracę nad organizacją kultury demokratycznych Niemiec, stojąc na ciele „Kulturbundu”, który odegrał tak ważną rolę w dziele odrodzenia Niemiec. Nowe zbiory jego utworów („Pourdół”, 1948; „Naród błądzący wśród ciemności”, 1948; „Nowe niemieckie pieśni ludowe”, 1950) przynoszą ostry rozrachunek z faszyzmem, opiewają pokojowe budownictwo republiki niemieckiej. Stanowią one nowy dowód wspaniałego rozwoju wielkiego talentu poety. Becher prowadzi jednocześnie ożywioną działalność polityczną; szczególnie duże są jego zasługi jako działacza na rzecz zjednoczenia Niemiec, jako jednego z wybitniejszych bojowników o pokój.

Becher jest poetą w większym stopniu, aniżeli inni współcześni mu poeci narodowym. Zagadnienie zjednoczenia Niemiec, ich przyszłość zajmuje centralne miejsce w jego twórczości. Jego rozumienie narodu dalekie jest od wszelkich znamion nacjonalizmu. Światopogląd socjalistyczny pozwolił poecie pogodzić miłość do własnego kraju z pełnym uznaniem wartości innych narodów.

Piękno ojczyzny stanowią dlań najlepsze tradycje narodowe uosobione w człowieku, jego obyczajach i arcydziełach, które stworzył:

„Piękno ojczyzny
W dziedzicznych obyczajach,
W zręczności rzemiosł,
W haftach i strojach...
Piękno ojczyzny
Piękne
W arcydziełach
Stworzonych
Na cześć twą, ojczyzno,
I sławę”.

Ale Becher wychodził z swoim wierszem poza ramy narodu, do którego sam należy. Dla niego:

„Piękne oczy, piękne ręce
Mówią
O pięknie ojczyzny,
Wznosząc się ponad nie
Przyświadcza
Piękno człowieka,
Przyświadcza
Piękno świata”.

Becher — patriotą żywo zareagował na rozbieżności Niemiec, dokonane przez politykę amerykańskiego imperializmu. Zagadnienie jedności Niemiec znalazło swój wyraz w niezwykle przekonującym ideowo i artystycznie wierszu „Am Grenzbaum”. Poeta we wstrząsającym zdaniu podkreśla, iż ojczyzny podobnie jak serca nie można rozdzielić na dwie części („Man kann ein Herz nicht in zwei Teile spalten”).

„Friede, Friede sei auf Erden!
Menschen wollen Menschen werden!”

Dla Bechera „mieć odwagę pisaną, to znaczy: nie bać się poważnej sztuki i nie bać się prawdy”. „Odwaga ta — pisze Becher — stała się groźniejsza niż odwaga na polu bitewnym, opelana lekkiem i z konieczności uderzająca przed siebie, gdyż pisarz może uciec przed poważną sztuką i może uciec przed prawdą, nie lekając się zewnętrznej kary”. Poeta wybrał drogę prawdy — piękną, którą Stalinowska Nagroda pokonowała.

STANISŁAW DZIECHCIARUK

D O M A T K I

Było nas wiele. Jest nas tylko troje,
Oświeć cię wzięta, matko kochana,
inna kobieta w domu — miejsce twoje,
ale ty żyjesz, trwasz niezapomniana.

Ja, ile razy znów stanie przede mną
twarz twoja we łzach i kałuż oświećmińska,
gdzie cię wrzucili w krematorium ciemność,
płacz dławiąc w gardle i ręce zaciskam,
Lecz jeśli dzisiaj cię znowu przyzywam,
to nie by stare rozdrapywać rany.

Jest inna, matko, nad śmierć większa sprawa,
o niej, ja córka, chcę z tobą rozmawiać.

Może niejedni, wierni twej pamięci,
wiernością, która myśleć im przeszkadza,
mówią, że pamięć Twoją dzisiaj zdradzam,
rękę podając tym, co ciębie lżyli
i ciało Twoje oddali ogniomu.

O, matko moja, to ludzie zbyt prości,
jeśli mózg ciasny nazywać prostotą.
Ich nie dosięga wielkiej myśli władza
i miłość większa nad własne cierpienie:
myśl o zbolale wojnami ludzkości.

Ja nie do królów Twoich wyciągam ramię,
do tych, co dzieci chowali wilczęta,
lecz do tych Niemców, którzy jak Ty byli
więźniami w takim, jak i Ty obozie,
jak Ty ginęli i syn Twój — w ciemności.

Wczoraj widziałam w piśmie fotografię:
chłopcy niemieccy, niemieckie dziewczęta
lepiły z gliny gołębie pokoju.
Matko, powiedz mi tego nawet nie potrafisz:
w ich twarzach była ta jasność surowa,

którą miał brat mój, idący do boju
i ta szlachetna powaga, co mówi,
że ludziom obca jest ludzi nienawiść,
że jak szczerp winny można ich przostawać
i jad wszczepiony z narodu wytrawić.

A jeszcze temu kilka lat zaledwie,
w Rzeszowie działo się to, byłem przy tym,
jak młody chłopiec w Hitlerjugend bluzie
bójkę rozpoczął z polskim robotnikiem,
grożąc mu nożem zza pasa dobytym.
W zgrozie patrzyli zgromadzeni ludzie.
Gdy stary lekarz, Niemiec tam osiadły
chciał mu broń wyrwać, nóż ukłił mu w dłońi.

Ja to dziś widzę, krew spływała po niej,
a stary doktor oczy nią przysłonił
i jęknął głucho: dokąd mój narodzić,
który miał dzieci wydać zwierzęta?

Ja to wciąż widzę, ja dobrze pamiętam.

Ale, o matko, gdybyś żyła z nami
mogłaś widzieć, jak w ziemiach za Odrą
inna wyrasta, piękna, ufna młodość,
co wie, że jedn. do pokoju świata
prowadzi drogi: aby się z ludami
ziem wszystkich naród niemiecki pobratał,
tybyś, o matko, potrafiła pojąć,
wzrok mój wpatrzony w te młode ździebelka.
Tobie zrozumieć byloby najprościej,
że wszczepiam innym ludziom wiarę moja
w imię tej troski, by dzieci nie stały
jak ja nad matek popiołami we łzach.

I w imię żywej do Ciebie miłości.

ANDRZEJ LAM

MANOWCE I LEKCJA WRZESNIA



Wojciech Zukrowski

MIĘŁO już trzydzieści lat, a dopiero rok ubiegły przyniósł nam książki wyrosłe z prawdziwej wiedzy o jesiennych wydarzeniach 1939 roku — „Wrzesień” Jerzego Putramenta i „Dni kłeski” Wojciecha Zukrowskiego. Mimo to nie można w tej perspektywie dopatrywać się opóźnienia, a w rozrachunku politycznym z winowajcami kłeski wrześniowej — epigonstwa. Nie tylko dlatego, że konieczne było wydobycie na światło dzienne nieznanych szerszemu ogółowi faktów historycznych, precyzyjne ustalenie przyczyn przegranej kampanii i rozmiarów odpowiedzialności przywódców przedwrześniowej Polski. Także dlatego, że skryształowanie emocjonalnych walorów września jako tematu literackiego domagało się pewnej odległości czasowej. Nie łatwo było od razu znaleźć klawisz, który uderzony ręką pisarza wydał ton czysty i prawdziwy.

Kompromitacja góry sanacyjnej? Tak, była to kompromitacja nie pozostawiająca suchej nitki na Beckach, Mościckich, Ślawojach i Rydzach.

Grotoska? Dla tych, którzy pamiętają sloganowe „silni, zważy, gotowi”, obrazki na murach z samolotami, czolgami, gepancami i późniejszy bezładny odwrót dezorientowanych oddziałów polskich, nie ulega wątpliwości, że Wrzesień był groteskowy.

Tragizm? Aż za wiele było tragizmu w kontraście między patriotycznym bohaterstwem żołnierza, a lajdacko przygotowanymi planami operacyjnymi, w wydaniu bezbronny i obezwładniony narodu na pastwę hitleryzmu.

Optymizm? Niewątpliwie tak, skoro dalszy bieg wydarzeń historycznych przyniósł Polsce wyzwolenie społeczne i narodowe. Między tymi sprzecznymi pojęciami pióro pisarza musi lawirować jak szpada wytrawnego i zręcznego szermierza, by nie omijając historii oddać rzecz w jej realistycznych proporcjach. Trzeba rzetelnej wiedzy historycznej, by sprzecznym postaw emocjonalnych wystąpiły jako sprzeczności klasowego społeczeństwa, by stały się wy tłumaczone i zrozumiałe. Podjęcie tego zadania oczekiwaliśmy właśnie od pisarzy i dobrze się stało, że podjęli je ci, od których ogół czytelnicy mogli się spodziewać głosu o przekonującym brzmieniu.

Ale „Wrzesień” i „Dni kłeski” to są książki różne. Putrament napisał powieść wielowątkową o ambi-

rew. Istotnie, obie książki uzupełniają się doskonale. „Wrzesień” jest szeroki gest zaglądnący we wszystkie szpary, we wszystkie za zamarki pisarza, nie nie uchroni się przed jego smagającym do krwi biczem. W „Dniach kłeski” jest tragiczna niewiedza obłąkanego, wręczących się do boju żołnierzy, są dzieje zaprzeczania możliwości tego zrywu, jest wąski odcięcie frontu bez gazet i łączności, zdanego na własne siły, własną mądrość i własną przemysłowość w uzyskiwaniu wiadomości nie tylko z szerokiego świata, ale nawet z sąsiednich obszarów Polski. Mimo to Zukrowski z politycznej wiedzy nie rezygnuje, wie, że bez niej nie napisze prawdy. I ta polityczna wiedza przesyca klimat powieści, tkwi w odpryskach, w przygodnych epizodach, urwanych dialogach.

W opowiadaniach z tomu „Z kraju milczenia”, poświęconych fragmentom Września, pisarz starał się znaleźć wydarzenia niecodzienne, wyjątkowe, zawiązał akcję, spiętrzał konflikty, by pokazać zarówno barwną awanturę wojenną, jak wystrzone wśród świstu kul para-

działów i najmniej oczekiwany rozkaz odwrotu. Można być świadkiem palenia listów od żołnierzy, którzy polegli, usłyszeć po raz pierwszy piekące słowo „zdrada” i złowroźne słowo „kleska”. Uczestniczyć w trudach wojennej wędrowki, szarpać się między przygnębieniem, a ustawicznie wracającą nadzieją, obserwować rozprezenty armii autorytetu do wództwa, zadowolone próby koncentracji armii i kurczącą się mapę, demoralizację wyższych szczebli i wytworne zagraniczne wina w transportowanej z narażeniem życia pancerner kasecie, zawierającej rzekomo tajne i ważne dokumenty.

Obraz swój buduje Zukrowski na sprzecznościach, nie stara się bynajmniej o jednolitość nastroju. Pocucie odpowiedzialności za losy ojczyzny i brak zaufania do dowódców sprzeczności w warunkach Września nie może być tematem heroicznej epopie nastrojowej na ten ton, który pobrzmiewa w agitacyjnym wierszu Eroniewskiego „Bagnet na broń”. Właśnie dlatego, że patriotyczny zryw narodu został zduszony w samym zarodku przez przywódców, kosmopolitycznych graczy bez oj-

„Dni kłeski” zyskują dodatkowy rumieniec, nowe konflikty. Konflikty, jak zwykle u Zukrowskiego, nie wypunktowane ad oculos, tkwiące w powieści raczej potencjalnie, nie sygnalizowane każdorazowo pozostawione raczej domysłowi. Zukrowski żywi wyraźną niechęć do intelektualnych spiec, do bohaterów wyposażonych w samowiedzę. Ceni za to odmięty biologiczne i emocjonalne, lubi podpatrywać człowieka, którym rządzi natura, szczerze, nieskażone namysłem i spekulacją myślową imperatywem. Dlatego tak wiele w książkach Zukrowskiego konfliktów sytuacyjnych, tak mało powiast fabularnych. A tam, gdzie są te powiązania, nierazko wypadają one sztucznie, beztreściwie, jak spotkanie Nowosada z żoną w cukrowni Woźnicy, poprzedzające jego wyjazd do Związku Radzieckiego w celu kontynuowania walki. Miłość do Aliśki, która zostanie w kraju, będzie dla Nowosada dodatkowym czynnikiem osobistym, „budującym nienawiść do faszyzmu i potęgującym wolę zwycięstwa, symbolem związku z krajem. Ale w opisie samej miłości, pełniającej w powieści tak ważną funkcję, ześliznął się pisarz ku fałszywej pojmowanej codzienności, rezygnując z ambicji skomplikowania nowego indywidualnego odcienia — i to mu trzeba wziąć za złe.

Jest w „Dniach kłeski” pośpiech i niecierpliwość. Wydarzenia depczą sobie po piętach, sytuacje zmieniają się jak szkiełka w kalejdoskopie. Ile jest w tych sytuacjach prawdy wie każdy, kto pamięta słoneczne dni i jasne noce tamtego września. Pisarz nie poprzestaje na Nowosadzie, kreśli typy żołnierzy: uczciwego i koleżeńkiego podchorążego Babickiego, wygłodnia, oportunisty i tchórza Mulewicza, zapobiegliwego porucznika Świstackiego, kaprala Górnickiego, który ma serce na wierzchu, liczne postacie szeregowców. Z pasją prezentuje nihilistę porucznika Gembarzewskiego, który rozbija się jak widmo wolantem w przyfrontowej okolicy przestał wierzyć we wszystko z wyjątkiem niepowszedniego karabinu przeciwpancernego z długą lufą. Niezapomniane są opisy batalistyczne, obrazy zakurzonej i smutnych dróg odwrótu sieczonych seriami z niemieckich samolotów, sceny pięknych i okrutnych śmierci, przy których nie można się dłużej zatrzymać, bo już nagła wojenna potrzeba. To odpryski wysokiej próby, układane w przejrzyściej mozaice, uświetnione walorami wspaniałej zmysłowej pamięci Zukrowskiej, dzięki której lesista okolica północno-wschodniej Polski w jej niepowtarzalnym uroku pewnej soczystej jesieni staje jak żywa przed czytelnikiem z wszystkimi barwami, dźwiękami, zapachami.

Mimo jednak widocznego podługu Zukrowskiego do bezfabularności, do żywiołowej, epizodycznej narracji, widać w „Dziełach kłeski” staranie o celową organizację faktury powieściowej. Wycinkowość swojej relacji stara się pisarz zrekompenzować przygodnymi spotkaniami, wyluskać nowe treści z rozmów, krótkich jak mglenie oka wycinków losów ludzkich. Utrwała w pamięci spotkanie z nauczycielem Chojnackim, który mimo ułomności rwie się do szeregu, marzy o sprawiedliwej Polsce z odzyskanymi ludźmi i rozbudowanym szkolnictwem — i ginie od kuli policjanta wskutek bezsensownego podejrzenia o dywersję. Dla kaprala Tomka Polska streszcza się w halli łódzkiej przedziału, w życiu proletariatu. Stosunki panujące na Śląsku przejmująco oskarżają uciekinierzy — górny. O tolerowaniu przez polskie władze panoszeniu się Niemców na Pomorzu, sztykujących noż w plecy polskim oddziałom, opowiada przygodny piechur. Ta metoda przedostają się do powieści relacje o ucieczce Rydza, dowódcza i rządu... Ale nie zawsze trafił Zukrowski (dokończenie na str. 7)



Rys. A. Rafałowski

ALEKSY TOLSTOJ

ROSYJSKI CHARAKTER

ROSYJSKI charakter! Może to zbyt wiele zapowiadający tytuł jak na krótkie opowiadanie. Nic na to nie poradzę — chcę z wami pomówić właśnie o rosyjskim charakterze.

Rosyjski charakter! Jak też go ukazać? Czy opowiedzieć mam o czynach bohaterów? Tyle ich jest, że głowę można stracić rozważając, któremu dać pierwszeństwo. Uratował mnie jeden z mych przyjaciół niewielką opowieścią z własnego życia. Nie będę mówił o tym, jak bił hitlerowców, choć pierś ma pokryta orderami i nosi złotą gwiazdkę. To orderami prosty, skromny, zwyczajny — kolchoźnik z nadwołżańskiej wsi pod Saratowem. Ale wyróżniał się wśród wielu mocną, a kształtną budową ciała i urodą. Zapatrzył się na niego, kiedy wylądował się z wieżyczki czołgu — istny bóg wojny! Zeskakiwał na ziemię, zdejmował z wilgotnej czupryny hełm, wycierał szmatką zasłoniętą twarz i zawsze uśmiechnął się przy tym całym sercem.

Na wojnie, kręcąc się bezustannie w promieniu śmierci, ludzie stają się lepsi, obliży z nich wszelka błahość, niczym spalona skóra po udarze słonecznym, i zostaje w człowieku samo jądro. Oczywiście, u jednego mocniejsze jest, u drugiego słabsze, ale i ci, w których jądro jest skażone, podciągają się, każdy chce być dobrym i wiernym towarzyszem. Ale mój przyjaciel, Jegor Dremow, i przed wojną nienaganny był obywatel, szanował niezmiernie i kochał matkę swoją, Marię Polikarpowną i ojca, Jegora Jegorycza. „Ojciec mój to człowiek stateczny; po pierwsze ma szacunek dla siebie. Dużo rzeczy, powiada, zobaczysz na świecie, syneczku, i zagranicę poznasz, ale z tego żeś Ruski bądź dumny...”

Dremow miał narzeczoną, z tej samej wsi nad Wołgą. O narzeczonych i żonach wiele się u nas mówi, zwłaszcza kiedy front cichnie, na dworze ziąb, w ziemiance ścią się światło, trzaska ogień w piecyku, a ludzie sobie podjedli. Gadają wtedy, że aż uszy widną. Zaczyna, naprzykład, zastanawiać się: „Co to jest miłość?” Jeden powiada: „Miłość powstaje na bazie szacunku...” Drugi: „Nic podobnego, miłość to nałóg, kocha się nie tylko żonę, ale i rodziców, a nawet zwierzęta...”

„Pfu, co za bzdury! — mówię trzeci — miłość, to kiedy wszystko się w tobie gotuje, chodzisz niczym pijany...” Godzinami potrafił tak filozofować, aż dopóki starszyna nie wtrącił się i głosem nie znającym sprzeciwu nie określił istoty zagadnienia... Jegora Dremowa, widocznie, rozmowy te krepowały i tylko raz po raz napomykał mi o narzeczonej — to naprawdę pierwszorzędna dziewczyna i jak już powiedziała, że będzie czekać do czasu, choćby on miał wrócić na jednej nodze...

Swoich czynów bojowych również nie lubił rozgłaszać. „O takich rzeczach nie chce się wspominać!” Zasepiął się i palił papierosa. O bojowych działaniach jego czołgu dowiadaliśmy się z opowiadań załogi. Szczególnie miał zadziwić słuchaczy kierowca Czuiwilew.

„...Ledwo, rozumiesz, weszliśmy do akcji, patrzę, a tu wylazi z pa-górka... „Towarzyszu lejtnancie —

wolał — tygrys!” — „Naprzód — on wola — pełnym gazem!”... Ja zaraz dawaj maskować się po sośnieku — to w prawo, to w lewo... A tygrys wodzi łufą jak ślepiec, uderza i spu-dłował... A towarzysze lejtnant jak nie rąbnie go w bok — bryzgi leca! Jak nie walnie w wieżyczkę — aż ryja zadart... Łupnął go trzeci raz — tygrysowi ze wszystkich szpar dym kłębił się i ogień poleciał na sto metrów do góry... Załoga wylazła zapasowym lukiem... Wańka Łapszyn przejechał się kulomiotem — tamci leżą i tylko nogami drygają... Więc drogo, rozumiesz, mamy już wolną i w pięć minut wpadamy do wsi... Tam już sam nie wiedziałem, Faszyści wieją gdzie mogą... Obrzydli-wość po prostu, niektórzy nawet bez butów wyskakują i w nogi. Gnąją do stodoły. Towarzysze lejtnant daje mi komendę iść na stodołę. Odwróci-liśmy się do stodoły i na pełnym gazie wjeżdżam w stodołę... No, mówię ci! Zachrzęśliły o pancerny belki, deski, cegły, faszyści schowani pod dachem... A ja jeszcze raz macham — reszta ręce do góry — i Hitler kaput...”

Tak wołował lejtnant Jegor Dremow, aż dopóki nie zdarzyło się z nim nieszczęście. W czasie pogromu kurckiego, kiedy hitlerowcy już spytali i linia ich drgnęła, w jego czołgu — na wzgórkach, na pszenicznym polu rąbnął pocisk. Dwóch ludzi z załogi zabiło na miejscu, a od drugiego pocisku czołg zapalił się. Kierowca Czuiwilew, który wyskoczył przednim lukiem, wrócił na maszynę i zdołał wyciągnąć lejtnanta — był nieprzytomny, kombinizon na nim płonął. Ledwo Czuiwilew odciągnął go na bok, czołg wyleciał w powietrze z taką siłą, że wieżyczka cisnęła na jakie pięćdziesiąt metrów. Czuiwilew rzucał garściami rozmię-kniętą ziemię na twarz lejtnanta, na głowę, na mundur, aby zadusił ogień. A potem pełził z nim od leju do leju, aż do punktu opatrunkowego... „Dlaczego wlokłem go wtedy?” — mówił Czuiwilew. — „Bo słyszałem jak bije w nim serce...”

Wzywał Jegor Dremow i nawet nie utracił wzroku, choć twarz jego była tak zwęglona, że miejscami wycierały kości. Osiem miesięcy przeleżał w szpitalu, robiono mu jedną po drugiej operacje plastyczne, od-tworzono nos, usta, powieki i uszy. Po ośmiu miesiącach, gdy zdjęto opatrunki, spojrzął na swoją, a teraz już nie swoją twarz. Pielęgniarka, która podała mu małe lusteczko, odwróciła się i zapłakała. Oddał jej zaraz lusterko.

— Bywa gorzej — powiedział — z tym można żyć.

Skreślił na przejazd do domu. Grzęz-nąc po kolana w śniegu pochylili się do okienka i ujrzał matkę — przy stole, w mdyim świetle przykręconej lampki, szykowała wieczernę. Jak zawsze w tej samej chusteczce, do-bra, ładna, opanowana. Zestarała się, chude ramiona sterzają... „Ach, zebym to wiedział — co dnia trzeba jej było pisać o sobie, choć że dwa słowa...” Postawiła to jado by-lejki — miskę mleka, keś chleba, łyżki dwie, solniczkę — i stanęła przed stołem zadumana, chude ręce złożyła na podokolu... Patrzac przez okienko na matkę, Jegor Dremow

zrozumiał, że nie wolno przestraszyć jej, nie wolno by rozpaczą zadrzała twarz starowiny.

Dobrze więc! Otworzył furtkę, wszedł w podwórko, na genek, za-stukał. Matka odezwała się zza drzwi: „Kto tam?” Odpowiedział: „Lejtnant Gromow, Bohater Związku Radzieckiego”.

Serce zaczęło mu walić — oparł się ramieniem o uszak. Ale nie, nie poznała matka jego głosu. Sam zresztą jakby po raz pierwszy usłyszał swój głos, zmieniony po wszystkich operacjach — chrypliwy, głuchy, niewyraźny.

— A czego ci trzeba, kochany? — zapytała.

— Pokłon przywiozłem Marii Polikarpownie od syna, starszego lejtnanta Dremowa.

Wtedy otworzyła drzwi i wypadła do niego, chwytając za rękę:

— Żyje Jegor mój, żyje? Zdrow? Ach, mileńki, wejdź do izby.

Jegor Dremow usiadł na ławie przy stole, na tym samym miejscu, gdzie siadywał, kiedy jeszcze nie sięgał do ziemi, a matka, bywało, gładząc jego kędzierzawą głowę,



Rys. J. Nieprincew

mówiła: „Jedź, płaszyno!” Zaczął jej opowiadać o synie, o sobie samym, szczegółowo, dokładnie, o tym, że je i pije i niczego mu nie brak, zawsze zdrow, wesół, a potem — krótko — o bitwach, w których brał udział ze swym czołgiem.

— A powiesz ty mi — czy na wojnie strasznie? — przerwała, patrząc mu w twarz ślepy, nie widzącymi go oczyma.

— Pewnie, że strasznie. Ale człowiek przywyka.

Przyszedł ojciec, Jegor Jegorycz. Też posunął się w ciągu tych lat — brodki miał jakby mąką osypaną. Spoglądając na gościa otrzypany na progach schodzone walonki, bez pośpiechu rozkutał szwy, zdjął półsu-bek, podszedł do stołu, przywitał się podaniem ręki — tej znajomej, dużej, sprawiedliwej, ojcowiskiej ręką! O nic nie pytał, gdyż i tak było jasne skąd tu się bierze gość przy orderach, usiadł i również zaczął słuchać nawsypół przymknąwszy oczy.

Im dłużej siedział lejtnant Dremow nierozpoznany i opowiadał o sobie i nie o sobie, tym trudniej mu było ujawnić się — niepodobna już wstać i powiedzieć: matka, ojciec, poznajcie mnie wreszcie, potworali... I dobrze i boleśnie mu było przy stole rodzicielskim.

— Będziemy chyba wieczerać, matko, przyrządź coś dla gościa. — Jegor Jegorycz otworzył drzwiżki szafki — staruszki, gdzie w kąciuku na lewo leżały w pudełku po zapalniczkach haczyki do wędek — leżały tam nadal — i stał imbrzyk z odbitym dzióbkiem — stał nadal — gdzie pachniało cebulą i okruszynami chleba. Jegor wydobyl flaszczykę z wodką — starczyło tylko na dwa kieliszki — westchnął, że nie można już dostać. Usiedli do wierzery jak za dawnych lat. Dopiero przy jedzeniu starszy lejtnant Dremow zauważył że matka bacznie jakoś śledzi ruchy jego ręki trzymającej łyżkę. Uśmiechnął się, matka podniosła oczy, twarz jej drgnęła boleśnie.

Pogadali o tym i owym, jaka będzie wiosna; czy ludzie nadążą z

owym zaciszem domu rodzinnego niezapomnianym i w godzinę śmierci. Wiatr marcowy poświstywał nad dachem. Za przegródką pochrapywał ojciec. Matka przewracała się z boku na bok, wzdychała nie spała. Lejtnant leżał nieruchomo, twarz ukrył w dłoni: „Czyżby nie poznała — roz-myślał — czyż nie poznała? Mamo, mamo...”

Rankiem zbudziło go potrzaskiwa-nie szczap, matka ostrożnie rozpa-lala w piecu; na przeciagniętym sznurku wisiały świeżo wyprane jego onuczki, przy drzwiach stały wy-myte buty.

— Lubisz pszenne blinki? — spy-tała.

Nie odpowiedział od razu, zlał z pieca, włożył bluzę, zapiał pas i bo-so usiadł na ławie.

— Powiedźcie, czy młeska u was we wsi Katia Malyszewa, córka Andreja Stiepanyca?

— To nasza nauczycielka, w zeszy-łym roku skończyła kursy. A chcesz się z nią zobaczyć?

— Syn was prosił, żeby koniecz-nie przekazać jej pozdrowienia.

Matka posłała po nią dziewczynkę sąsiadów. Lejtnant nie zdążył nawet się obuć, gdy przybiegła Katia Bałyszewa. Wielkie, szare jej oczy błysz-czały, brwi latały z wyrazem zdumienia, na policzkach kwitł radosny rumieniec. Gdy odrzuciła z głowy na szerokie ramiona swą sztydelkową chustkę, lejtnant aż jęknął w sobie: pocałować by te ciepłe, jasne wło-sy!... Taką zawsze ją widział — świe-żą, czując, wesółą, a tak śliczną, że skoro tylko weszła — rozluciała się cała izba...

— Przywieźliście pozdrowienia od Jegora? (Stał plecami do światła i tylko przechylił głowę, gdyż nie mógł mówić). A toż ja czekam na niego dniem i nocą, tak mu właśnie powiedzcie...

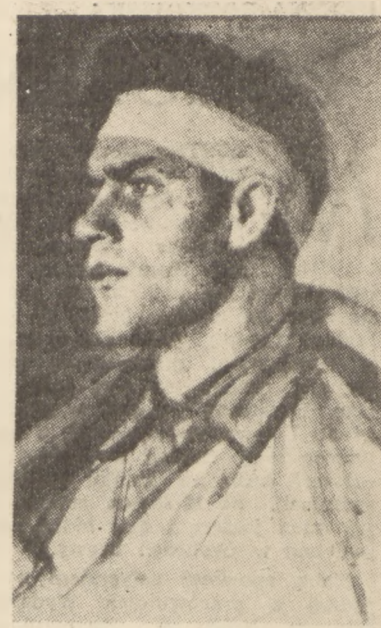
Podszła zupełnie blisko do nie-go. Spojrzała i, jakby ją kto nagłe tracił w pierś, cofnęła się przelęknione. Wtedy mocno sobie postanowiła, że odejdzie — dziś jeszcze.

Matka napięła pszenicznych bli-nów z naprzonym mlekiem. Znów opowiadała o lejtnancie Dremowie, tym razem o jego czynach bojowych — mówił z okrucieństwem i nie pa-trząc na Katie, by nie widzieć na jej wzdzięczonej twarzy odbicia swego pot-wornego kalectwa. Jegor Jegorycz zaczął się starać o konie z kolcho-za, lecz on poszedł na stację pie-chotę, tak jak przyszedł. Był bardzo zgnębiony wszystkim co zaszło i, przystając, aż się uderzał dłonią po twarz, powtarzając zachrypłym głosem: „I co teraz zrobić?”

Wrócił do pułku, który uzupeł-niał się daleko za frontem. Towarzy-sze walk powitali go z taką szczera radością, że opadło mu z serca to, co nie dawało mu spać, ani jeść, nie dawało oddychać. Postanowił, by matka jak można najdłużej nie wiedziała o jego nieszczęściu. Co zaś do Kati — wyrwie tę drzazgę z serca.

Po paru tygodniach przeszedł od matki list:

„Witaj, syneczku mój nienapaa-trzony. Lękem się pisać do ciebie, sama nie wiedząc już co mam myśleć. Był u nas jeden człowiek od ciebie — dobry bardzo człowiek, tylko na twarzy szpetny. Chciał pobyc



Rys. J. Lukomski

u nas, ale zebrał się jakoś od razu i pojechał. Od tej pory, syneczku, nie śpię nocą — zda mi się, żeś to ty przyjeżdżał. Jegor Jegorycz leje mnie za to — całkiem, powiada, zwichnął ci się rozum, stara: niechby to syn nasz był, toż by się odkrył... Po co mu kryć się, jakby to był on — taką twarzą, jak u te-go, co do nas przyjeżdżał, chłubił się trzeba. Przekona mnie Jegor Jegorycz, a serce matczyne wciąż swoje: to on, on był u nas!... Człowiek ten spał na piecu, płaszcz jego wyniosłam na dwór, chcąc wyciszyć — i przypadłam, do płaszcza i pla-czę — to on, to jego!... Jegorku, napisz na miłość boską, oświeć ty mnie, co to było? Czy już mi naprawdę rozum się zwichnął?”

Jegor Dremow pokazał list mnie i opowiedział swe dzieje ocierając oczy rękawem. Ja na to: „Charakte-ry, powiadam, spotkały się! Durny, ty, durny, pisz co przeded do matki, proś przebaczenia, nie przyprawaj o pomieszenie... Bardzo jej twoja u-roda potrzebna! Takiego jeszcze bardziej tylko będzie kochać”.

List wysłał tegoż jeszcze dnia: „Drodzy rodzice, Maria Polikarpow-na i Jegorze Jegoryczu, przebaccie moją ciemnotę, rzeczywiście u was ja byłem, syn wasz...” itd, itd. — cztery bite stronicie drobny mącz-kiem — zapisały i dwadzieścia, gdyby 'mu tylko pozwolić.

Po niejakiem czasie staliśmy z nim na poligonie — przybiega żołnierz i — do Jegora Dremowa: „Towarzy-szu kapitanie, wzywają was...” A żołnierz, choć stoi na baczność we-dług wszelkich przepisów, wyraz ma taki jakby właśnie zbierał się wy-pić. Idziemy do wioski, podchodzimy do chaty, gdzieśny z Dremowem mieszkali. Widzę, że z nim nie w porządku — wleją pokasujące... „Tan-ka, myśle, tankista, a tu — ner-wy”. Wchodzimy do izby, on idzie przodem, i słysze: „Mamo, to ja, mamo!... „I widzę, jak drobna taka staruszka przypada mu do piersi! Rozglądam się, a z nią jest i druga kobieta. Daje słowo honoru, są z pewnością różne piękności, nie jed-na ona przecież, ale ja takiej nie widziałem.

Tak, to jest właśnie rosyjski cha-akter! Ludzie, zdawałoby się, zwy-czajni; a niech przyjdzie srogie nie-szczęście — powstaje w nich siła olbrzymia: piękno człowiecze.

ALEKSY TOLSTOJ

Tłumaczyła IRENA TUWIM

HENRYK WANDOWSKI

DROGA NA OCEAN

SKOMPLIKOWANA i zawiła była droga twórczą jednego z najwybitniejszych radzieckich prozaików współczesnych, Leonida Leonowa, którego wczesna powieść z r. 1924 p.t. „Borsuki” omawiana była niedawno na łamach „Wiś”. Recenzent wskazywał przede wszystkim na obciążenia ekspresjonizmu i naturalizmu, które skrzywiły tenden-cję ideową powieści i zamazały przejrzysty obraz układu sił klaso-wych i walki w porewolucyjnej wsi radzieckiej. Obciążenia te, występujące w innych wczesnych utworach Leonowa silniej nawet niż w „Bor-sukach”, były przyczyną, dla której przechodziły one przez gestę sito klasowej cenzury reżimu sanacyjnego i ukazywały się przed wojną w pol-skich przekładach. Przyjmowane były nawet może z pewną złośliwą sa-tysfakcją przez reżimową krytykę, która z upodobaniem lubowała się w artystycznych „smaczkach” nie-dojrzałych utworów Leonowa. Nic dziwnego, że nieprzejmennie zasko-czyła ją „Droga na ocean” (1935, w tłum. polskim ukazała się w latach 1936/7), przed rokiem wznowiona w dawnym przekładzie przez Państwo-wy Instytut Wydawniczy*). Przed-wojenna krytyka „oficjalna” przy-jęła ją z nieukrywana złością i nie-chęcią, napastliwie dyskwalifikując jej ideową wartość. Nie ma para-doksu w stwierdzeniu, że był to nie-wątpliwie poważny sukces Leono-wa.

„Droga za ocean” — daje szeroki przekrój społeczeństwa radzieckiego w jego ideowym rozwoju i ukazuje

wspaniałe perspektywy komunisty-cznej przyszłości. W ten sposób u-porczywa walka pisarza o nowe o-blicze własnej twórczości zakończyła się wielkim sukcesem.

Droga do komunizmu wiedzie nie tylko przez walkę o produkcję, oso-bistą troskę każdego człowieka ra-dzieckiego o nieustanny rozwój go-spodarczy, bohaterstwo pracy so-cjalistycznej. Droga ta prowadzi także przez walkę z własnym „ja”, z re-sztkami starej jeszcze mentalności, z przejawami nieodporności i „dobro-litego” oportunistyzmu.

Aleksy Nikiticz Kurilow jest sta-rym robotnikiem i doświadczonym działaczem bolszewickim, kilkakrot-nie zsyłanym na katorgę. Za czasów carskich prześladował go przez iz-by sądowej, generał Protoklitow, w okresie kontrewolucji podczas jed-nego z wielu ataków wroga, omai-nie nie został zabity przez jego syna, o-ficera białogwardyjskiego, Gleba Protoklitowa. Kurilow po zdławieniu kontrewolucji został naczelnikiem wydziału politycznego kolei wołgo-rewizjańskiej.

Interesujący jest życiorys Gleba. Gdy kontrewolucja została stłumi-ona, ten oficer białogwardyjski nie ujawnił się. Był zdecydowanym wrogiem socjalizmu, ale ponieważ przewidywał, że nowy ustrój zano-si się na dłuższą metę, czuł potrzebę chwilowego „przestawienia się”. Z wykształcenia był technikiem, ale celowo nie dał się poznać jako wy-sokokwalifikowany fachowiec. Roz-począł pracę jako zwykły robotnik. Zmyślił fałszywy życiorys, w którym zatuszował swoje pochodzenie klaso-we i działalność polityczną. Pracu-

jąc na kolei szybko dał się poznać jako „utalentowany” robotnik; wy-niki jego pracy tłumaczono sobie jako przejaw uzdolnień i rosnących możliwości proletariatu. Szybko awansował i wreszcie został naczelnikiem wydziału parowozowni w Czeremyszańsku. Tutaj spotkał się drugi raz w swoim życiu z Kurilo-wem.

Jak powinien postąpić naczelnik wydziału politycznego wobec czło-wieka na odpowiedzialnym stanow-iisku, który nie ujawnił faktu, że brał udział w kontrewolucji? Pytanie w zasadzie zbędne, gdyż i autor formu-luje je tylko między wierszami — zdemaskować go. Sprawa nie była jednak tak prosta dla Kurilowa. W okresie rewolucji służył jej z całym oddaniem, obecnie jednak obok pa-sji pracy dla socjalizmu pojawiło się coś innego, co pasję tę znacznie osłabiało, ale z czego Kurilow absolutnie nie zdawał sobie sprawy. Jego silnie rozwinięta indywidualność rozna-miętniała pragnienie poznania ludzi, z którymi się stykał, zgłębnienia ich charakterów, bynajmniej jednak nie z określonych pozytywnych poglądów, było to bowiem „obiektywistyczne” pragnienie dla zaspokojenia samego pragnienia bez jakichś głę-bszych racji ideowych, które by je uwarunkowały. Kurilow jest posta-cią pozytywną i subiektywnie ta namiętność zgodna była z jego cha-rakterem. Ale że ten indywidualizm zbyt wygórowany, bo swoim zasie-giem wpływający nie tylko na dzia-lanie i losy tej postaci — był obiek-tywnie szkodliwy, świadczy cały je-go stosunek do Gleba.

Kurilow aranżuje rozmowę, z któ-rej nie wyciąga żadnych wniosków, mimo wyraźnego zdemaskowania Gleba. Zaczyna go interesować cha-rakter przeciwnika, komplikację je-go psychiki. Podziw dla żelaznej

konsekwencji Gleba, jego wytrwalej „gry w ciuciubabkę” górował w Kurilowie nad obowiązkiem zdemasko-wania wroga. Wreszcie Kurilow u-stępuje — niezależnie od swej woli — z pola walki, zaatakowany choro-bą, która przynosi mu śmierć. Wy-dawałoby się więc, że sytuacja Gle-ba jest dla jego interesów wprost znakomita. A jednak zostaje on zdemaskowany, bo taka jest logika ży-cia radzieckiego. Choćż dzieje się to częściowo przez przypadek, to właśnie ów — szeroko obudowany i umotywowany w powieści — przy-padek, jest jak mówi przy innej ok-azji w jednej ze swych sztuk dra-maturg radziecki Afinogenow: „...szczególną potrzebą konieczności”. Ta konieczność, wg. formuły klasy-ków marksizmu, zawsze uturuje so-bie drogę, często poprzez szereg przypadków.

Zasadniczy wniosek, jaki wysnu-wa autor z szeroko tu przedstawio-nego konfliktu, to konieczność usta-wicznej czujności i to czujności po-jętej w jak najszerzym tego słowa znaczeniu. A więc odnoszącej się nie tylko do otoczenia, ale i czujności wobec samego siebie, wobec własne-go „ja” człowieka. Bo dlaczego Kurilow nie zdemaskował Gleba? Ty-lko dlatego, że ten stary, doświad-czony komunista folgował sobie co-rzecz bardziej i poddawał się swojej własnej, ale obiektywnie szkodliwej namiętności patrzenia na ludzi przez pryzmat ich niedoziemnych cha-rakterów, usuwając na dalszy plan ich stosunek do nowej rzeczywistości.

W powieści Leonowa doliczymy się około dwudziestu pierwszo-i drugoplanowych postaci, których losy zajeżdżają się w sporej liczbie przeprowadzonych wątków. Nie po-siada ona jakiejś przewodniej fabu-ly, wokół której by się one rozwija-ły. Nawet trudno selekcjonować je na główne i podrzędne; wszystkie w realizacji pisarskiej traktowane są

z tą samą uwagą, czy to będzie wa-ka o zwiększeniu przewozów i bez-pieczeństwa na kolei, czy konflikt Kurilowa z Glebem; sprawa Lizy — fertycznej aktorki marzącej o sławie wielkiej artystki, a później wzorowej nauczycielki; stosunek Ilii do Gleba; zagadnienie narodowości ZSRP pokazane na przykładzie brygady młodzieżowej z Tatarstanu; całe partie książki poświęcone wędrownom au-tora z Kurilowem po Oceanii — przyszłym świecie komunizmu. Celowo wylaczam tu wszystkie ważniej-sze zagadnienia, aby zorientować czytelnika w bogactwie problematyki „Drogi na ocean”.

Talent Leonowa wyraża się tu przede wszystkim w różnorodności charakterów precyzyjnie zindywi-dualizowanych, w wartkim tempie narracji, co jest szczególnie godne podkreślenia się w związku na liczne dygresje i „skoki” w przeszłość Rosji i przyszłość Oceanii; w niezwykłej subtelności obrazowania antagonizmów i nieantagonisty-cznych konfliktów ideologicznych.

Trzeba przyznać, że książka nie jest łatwa do interpretacji i w calo-kształcie może być właściwie zrozu-miana przez dobrze przygotowanego czytelnika. Podkreślamy, że jest to powieść głęboko nasycona analizą psychologiczną postaci. Nie chodzi tu oczywiście o jakiś bezpłodny psy-chologizm mieszczańskiej powieści, w której bohaterowie rozdzielają z rozdziałem zajmując się jałowym hamle-tyzowaniem, a o psychologię ludzi o określonym obliczu ideologicznym, działających w określonym history-cznie czasie. Tylko w ten sposób na-tężeń podejść do książki Leonowa, ja-ko powieści psychologicznej.

Jak skomplikowane są sprawy bo-haterek powieści, niechaj świadczy o tym raz jeszcze przykład Kurilo-wa. Ten stary, wypróbowany dzia-łacz partyjny nie docenia, a raczej nie dostrzega błędności swojej po-stawy w ocenie i stosunku do ludzi. Z aktywnego działacza przekształcił

się w dobronliwego staruszka. Sam jednak tego nie dostrzegł.

Myśli Kurilowa całkowicie po-chłonięte są budownictwem przy-szości Socjalizm rozumie lepiej niż przeciętny obywatel i z największą rokoszą podąża myślą w przy-szość, starając wyobrazić sobie ko-munizm. Nie jest idealistą, ale ro-mantyką czasu, który nadchodzi.

Najszcześniejsze chwile dla autora i Kurilowa, to podróże po Oceanii. Oceanii, to nowy świat, w którym powstają już nie tyle gigantyczne, co monumentalne hydrostacje, gdzie wody śródziemnomorskie użycznają jałowia Sahary, a podróże międzypla-netarne przestają być sensacją. Oceanii, to także nowi ludzie. „Wy-dawało się nam, że rodząj ludzi po-prawili się. Tamci trzymali się pro-ściej i pewniej — czyżby dlatego, że każdy wyczuwał ramieniem sąsieda i nie obawiał się niczego, czy też może w czystym powietrzu nowych czasów nie było bakterii kłamstwa. Wciąż czekalem, aż oni zaczęją się chwalić doskonałością swęj organi-zacji społecznej, lecz oni tego po prostu nie zauważali. Tu został o-sięgnięty naturalny stan człowieka — być wolnym, radować się pracą swych rąk i myśli, nie być eksploa-towanym przez nikogo. A choć uszy-szko mieli w swoich rękach — chleb i pracę, i sam los nawet, często do-strzegaliśmy ludzi z zafasowanymi twarzami. Zrozumielśmy, że oni również mają swe smutki i zdarzają się udróż nich tragedie, ale bardzo odpowiadają wysokiej godności człowieka”.

Piękna jest ta wizja nowego świa-ta, urzekająca jest obraz nowych lu-dzi. Wspaniała jest ta powieść o walczącym dziś socjalizmu i zwy-cięskim jutrze komunizmu.

Henryk Wandowski

* Leonid Leonow, Droga na ocean. Przekład autorystyczny Andreja Stawara. PIW. 1951, t. I i II.

** cyt za Malanię Kierczyńską z książki „Spór o realizm” na str. 120.

HELENA BORKOWSKA

POKOLENIE PRZYSZŁĄ WIOSNĘ NIOSĄCE...

MAJĘTNA sierotę, Halszkę z Ostroga, wyswatał król Zygmunt August Łukaszowi Górcie, wojewodzie poznańskiemu. Pannie jednak widać Łukasz nie podobał się, skoro po hucznym weselu zbiegła do dalekiego Lwowa, gdzie połączyła się z kochanym, młodzieńcem niezwykłej urody, również szlachcicem. Wojewoda popędził w 500 koni do Lwowa, rywala zabił, a niewierną żonę osadził w jednej z czterech baszt na zamku w Szamotulach. Po 12 latach zmarła, a jej duch jeszcze i dziś błąka się podobno w okolicach baszty...

Taką opowieść usłyszałam z ust jednej z pracowniczek Wydziału Kultury MRN w Szamotulach. A pytałam o charakterystyczne cechy miasteczka.

W wyobrażeniu mojej rozmówczyni przeszłość jej rodzinnego miasta to zabytki, stare klechdy, niesprawdzone przepowiednie. Teraz niechęć do bohaterskiej przemyślenia trudności przy realizacji dyktów ministerialnych. A przyszłość, plany, perspektywy? Artykuł do „Tygodnika Powszechnego” właśnie na temat przeszłości, o zabytkach.

Ano potrafiła mnie ta przeszłość w Szamotulach. Szczęściem nie na długo.

Druga rozmowa toczyła się w maleńkiej budce kolejowego droźnika. Mówiliśmy także o zabytkach i przeszłości.

W takim zabytku proboszcz Kazimierski krzyżował na krótko przed wojną z ambony, bezpośrednio po pochodzie 1-szo Majowym — skąd się to cholery w naszym katolickim mieście wzięły, chyba aż z Hiszpanii z tą czerwona płachtą przysyła!

Co za przeskok! A więc jednak nie ciche — jak to się zwykło sądzić — ale nabrzmiała walka polityczna poznańskie miasteczko. Ów wytrząsany księdza proboszcza w kapitalnym skrócie ukazuje przedwojenne oblicze społeczne Szamotul.

Lecz kto przypomina słowa z ambony po tylu latach w matej budce droźnika?

Nowak, sekretarz organizacji partyjnej na kolei ma dziś 57 lat, wygląda jednak jakby miał przeszło 60. Jego życiorys nicyzm na żywo wyjęty z „Pamiętników bezrobotnych”. Żona, pięciorgo głodnych dzieci, tułaczka w poszukiwaniu pracy, ryzykowna wyprawa po chleb do Francji w latach 30-tych. Ale i piękna Francja ścisnęła kleszcze kryzysu, wrócił straciwszy wiele sił. Prace, jakie Nowak wykonywał? Tiukł kamieniem na szosie, pracował u poznańskich „gburów”, w okresach kampanijnych udawało mu się czasem zahaczyć w szamotulskiej cukrowni.

W czasie kampanii biedota chłopka biła się na noże z miastowymi o pracę. Dyrektor cukrowni zarabiał 10.000 złotych. Był to bardzo litościwy człowiek, dawał czasem kłemuś z bezrobotnych kilka złotych. I delikatny. Pomyślcie tylko — ludzie calowali jego skózaną kurtkę prosząc o pracę. Zbrzydła mu dłoń i oddał ją bezrobotnemu, o czym nawet w gazecie było...

Dziś miasteczko liczy 11 tys. mieszkańców, 21 w latach kapitalizmu nie przekraczało nigdy 10-tu. Szamotul, jak wiele innych poznańskich miasteczek przechodziły swoistą drogę rozwojową. Tereny te pełniły funkcję — „Hinterlandu”, rolniczo - surowcowego zaplecza Prus. Stąd też brak wielkiego przemysłu. W zamian za to stosunkowo silny rozwój przemysłu przetwórczego, opartego o surowce dostarczane przez rolnictwo. Cukrownia, olejarnia, gorzelnia, browar, duże młyny, fabryka mebli — oto cały przemysł miasteczka. Rolniczy charakter Poznańskiego powodował, że obszarnicy posiadali wielkie wpływy polityczne nie tylko jako dostawcy surowców — żywiciele Prus, ale jako akcjonariusze w zakładach przemysłowych. W Szamotulach rej wodziła hr. Żółtowska. Z drugiej strony w samym miasteczku rozwinęło się rzemiosło i handel. Kupcy szamotulscy wiele lat składali pieniądze w bankach, kasach oszczędnościowych, by wreszcie w nagrodę za tę cnotę otrzymać udział w którymś z zakładów przemysłowych. Wtedy z frontowych drzwi znikła morska tabliczka z napisem „kupiec chrześcijański” a pojawiała się bardziej okazała — „przemysłowiec”. Natomiast ideałem rzemieślnika było przeobrazić się w „chrześcijańskiego kupca”.

Stary woźny z MRN, uczestnik powstania wielkopolskiego wetknął mi w rękę interesującą broszurkę A. Fanyza, wydana przed wojną w 1939 roku, wymowne świadectwo walki politycznej pomiędzy rozmaitymi grupami burżuazji Szamotul a miejscowym proletariatem. Czytałam ze zdumieniem: „Na wieść o rewolucji berlińskiej (mowa o roku 1918) miejscowa marynarka hamburscy, którzy przebywali w szpitalu szamotulskim, zaczęły działać. Dnia 10 listopada w godzinach popołudniowych zwołuje załoga szpitala wiec żołnierski do sali p. Sundmana. Wiec ten

miął charakter bardzo burzliwy, nastroje były wprost demagogiczno-radykalne. Ostatecznie udało się pp. Stanisławskiemu i Schwendkemu umyślnie opanować, tak że po kilkugodzinnej hałaśliwej debacie i z powodu późnej pory postanowiono przelożyć obrady na dzień następny tj 11 listopada”.

A kto to był pan Schwendke? Właściciel dużej oberży w miasteczku. Następnego dnia burżujza była już gotowa do walki. Powstała Rada Robotnicza miasta Szamotul z... kupcem na czele. Kupiec przemianował ją na Radę Ludową. Kierował nią ksiądz proboszcz Kazimierski. I tak to „porządek został przywrócony”.

Czy oznacza to, że nie było politycznych walk w czystym i spokojnym na oko miasteczku?

Nowak ma dobrą pamięć. Liczba bezrobotnych w Szamotulach dochodziła okresami do 2000! Chrześcijański kupiec nie wahał się wyrzucić na bruk robotniczych lokatorów, jeżeli tylko ciężkie warunki nie pozwalały im zapłacić komornego. W lesie pod Lipnicą tworzył się obozy wyrzuconych, którzy pojawiali się na ulicach „spokojnego” miasteczka 1-go maja. Nowak wspominał słynny strajk robotników fabryki mebli i młynów. Wystraszony fabrykant ustąpił. Nie pomogła policja, gotowa zawsze na usługi burmistrza Bartkowskiego, nie pomogły telefony samej hrabiny Żółtowskiej do Warszawy. Nie poradził także osławiony ksiądz Kazimierski... Robotnicy ocallali dotychczasowe zarobki, do obniżki nie doszło.

Jeszcze jedna pasjonująca opowieść. Jest wieczór. Siedzę od kilku godzin w gabinecie dyrektora olejarni Edmunda Bartoszczyka. W Szamotulach, jak w ogóle w Poznańskim, kler bardzo wyraźnie występował w walce klasowej, ambona przy każdej okazji służyła za trybunę polityczną.

Matkę mu wykłóto za nieślubne dziecko. Ucznieli to osobiście proboszcz. Dziecko czterolatnie, chowane po krewnych i znajomych, nie zaszło matczynego cięcia i to z winy najgorliwszych obrońców rocznicy. Wyklinalo nawet tych, którzy „nadużywając ziemskich rozkoszy nadmierne się rozpiodziła”, a potem zebrał o pracę. Bartoszczykowa szkanowana „za obruszę Boską” wyemigrowała do Francji.

Droga do pracy? Wylczył ich dwie. Najpierw poprzez majstra. Nazamiatał się przez kilka lat w dobrodziejowych pokojach, wybiegał po sprawunki dla pryncypałów, nianczył i ochę dzieci, ale wreszcie zdał egzamin na kowala. I odtąd skończyły się wszelkie nadzieje na pracę. Na własnych nogach stanąć nie mógł, fachowca zaś do roboty nikt nie przyjmował. Za drogi interes.

BOGDAN CHOCIANOWICZ

„DZIADEK” KALINOWSKI, REK I MAŁACHOWSKI



J. K. Maciejewski

MOKRZYCA Wielka. Parę brukowanych ulic, grupy domów i gospodarczych zabudowań o konturach zamazanych przez gęstą, nadmorską mgłę, jakiś lasek - zagajnik w pobliżu, jakieś typowe wolińskie bajorka.

Kiedy w lipcu, 1950 roku, cała gromada postanowiła gospodarować zespołowo, stary 70-letni Kalinowski również podpisał spółdzielczy statut.

— Jak wszyscy, to i ja — pomrukiwał niechętnie, drżącą ręką kaligrafując litery nazwiska — jedną zresztą umiejętność i świadectwo swojej „piśmienności”, jaką wynosił ongiś z „ludowej”, jednoklasowej szkoły. Ale zdania o spółdzielni nie zmienił ani na jotę.

— Spółdzielnia, to nie dla chłopów interes — wyluszczał swój punkt widzenia w czasie niejednej dyskusji z Zalewskim, Stolerskim lub też z innym spółdzielczym aktywistą.

— Powiadacie: wolność dla chłopów. A ja wam powiadam, że te różne zarządy i komisje to ani na tydzień — skrupulatnie odmierzał palcem kilka milimetrów paznokcie — ani na tyle wolności chłopu nie dają.

Pisał podanie o pracę w olejarni. Trzeba było mieć opinię proboszcza. Nie dostał jej „nieprawie” dziecko. Odmówiła poparcia pani hrabina. W dyrekcji natomiast oświadczone mu, że zbyt górnolotnie pisze i nadaje się raczej na urzędnika.

Bartoszczak ma 34 lata, wygląda młodo. Jest ruchliwy, energia przebija z jego słów. I chociaż może wydać się to dziwne — kocha Szamotulę, miasteczko, gdzie tyle upokorzeń spotkało jego matkę, gdzie i jemu życie nie szczęśliwie zawodło.

Schodzą się przyjaciele dyrektora. Rozmowa staje się mniej intymna, ale wszyscy chętnie mówią o sprawach miasta. Januszczyk Władysław sprzedawał przed wojną gazety, kieruje obecnie księgiarnią. Nowak, najwyraźniej dumny z ludzi, którzy teraz kierują życiem Szamotul, zwraca uwagę na Srebrny Krzyż Zasługi, zwiastający na piersi Bartoszczyka.

— Ot i było za co dać. Olejarnia zawsze przekracza plan. Technikum w Bytomiu skończył, mógł wypłynąć na szersze wody a został. Takich mamy ludzi.

Bartoszczyk milczy chwilę, wreszcie powiada:

— Mam nadzieję złożyć egzamin inżynierski, aby lepiej „zejść w dół”. Przy dobrym zespole inżynierskim łatwiej i bardziej masowo wyrastają niekwalifikowani na fachowców. A miasto skoroz już raz serce dał, nie odbierzesz, jak dzwyczyli.

Odzywa się młody Chmielewski, przewodniczący Miejskiej Rady Na rowczej.

— Bartoszczyk to najostrzejszy ławnik w sądzie, ale przede wszystkim, gdy o alimenty chodzi.

Mam przed sobą właściciela jakby sztab małego poznańskiego miasteczka. Jaki jest jego dzisiejszy charakter, kto jego oblicze kształtuje?

Przełom w politycznym życiu Szamotul nastąpił u progu Planu 6-letniego. Jeszcze w 1949 roku na 133 sklepy 112 posiadał „kupcy chrześcijańscy”. A zakładów rzemieślniczych 170 i wszystkie w rękach majstrów - dobrodziej. Drobnomieszkańca fasda miasteczka kurczyła się wyraźnie na gruncie ekonomicznym. Dziś zanikają ostatnie egzemplarze dawnych przedsiębiorców. Ale w zakresie świadomości społecznej rewolucja błędnie znacznie wolniej. Mieszkaństwo nie rezygnuje do dzisiejszego dnia z walki.

Dwa razy w gimnazjum ogólnokształcącym wykrywano zorganizowane podziemie. Jeszcze trzeciego dnia mego pobytu w Szamotulach synowie dawnych kupców pobili robotniczego kolegę, który nie uczęszczał na lekcje religii.

Problem wcale nie nowy, ale też i w dalszym ciągu nie rozwiązany.

Chodzi mi o walkę o młodzież pochodzenia inteligentnego, a nawet drobnomieszkańskiego. Gdzie jak gdzie, ale w poznańskich miasteczkach problem to nie bagatelny. W ciągu godziny naliczyłam w miasteczku kilkudziesięciu lekarzy i adwokatów, orientując się tylko według solidnych, mosiężnych tabliczek na drzwiach. A przesiadam trzy zaledwie ulice.

I ta walka o młodzież toczy się oczywiście. Oto kolega Krygier, jeden z „odzyskanych”, syn byłego właściciela sklepu. Rozmawiamy w szkole, gdzie jest nauczycielem.

— Ojciec sklepu nie ma, ale nie dlatego, że ja go przekonałem do socjalistycznego handlu. O takim właścicielu sklepu jeszcze w naszych stronach nie słyhać. Czytałem socjalistyczną ekonomię, przeprowadzałem w rodzinie formalne wykłady z cytatami. I dochodziło jedynie do awanturowania, pogłębienia istniejącej przepaści między mną, a rodzicami.

Trudno mi było powiedzieć to głośno, ale ucieszyła mnie wiadomość, że takich pogłębiających się konfliktów jest w środowiskach inteligentnych i drobnomieszkańskich coraz więcej. Ale mój odzyskany bohater jeszcze całkowicie ze swego środowiska nie wyrósł, wielu podstawowych spraw nie zrozumiał. Oto np. uważa, że państwo postępuje niesłusznie, gdyż likwiduje prywatną inicjatywę w sposób nieproporcjonalny. Zamyka prywatne sklepy, a zostawia średnio-rolnych i bogatych chłopów.

Jest jeszcze wiele do zrobienia w zakresie pogłębienia dojrzałości ideologicznej tego typu swolitych „popuczycyków”.

Lecz pokolenie, które przyniesie miasteczku wiosnę, to wcale nie młodzież typu Krygiera. Synowie i córki dawnych koczowników spod lipnickiego lasu weszli do fabryki urzędów.

Bartoszczyk na przykład promienne, kiedy mowa o nowej młodzieży szamotulskiej.

— Przed powstaniem brygady młodzieżowej możliwości rozlewni naszej olejarni nie przekraczały 120.000 litrów miesięcznie, a teraz przekraczają 200.000!

„Małeńkie mieszkanie Stefani Maciejewskiej. Kuchenka, wyłożona kolorowym papierem do połowy, schludny pokój. Sufit trochę przecieka. Na ścianie tradycyjne zdjęcie ślubne. Moja nowa bohaterka ma 21 lat i ona to zainicjowała powstanie brygady, która rzuciła wyzwanie starszym robotnikom. Była to na swój sposób mała rewolucja w olejarni.

Stare robotnice broniły zadawanych obyczajów przy pracy. Ano obgadać sąsiadów, skomentować najnowsze nowinki, podzielić się wiadomościami, gdzie, w którym sklepie nowy towar. A przy



Foto WAF

tych narzekały, że robią na młode. Maciejewska pierwsza zaproponowała oddzielić się i pokazać, kto tu za kogo pracuje. W czasie tego „pokazywania” rozlewnia zwiększyła wydajność o 80.000 litrów oleju miesięcznie. A rozmowy: „moja pani kochana, wiecie co się stało” — najwyraźniej ustały.

Gożej było z młynami, dokąd lotem błyskawicy doniosły się wieści o wyczynach brygady Maciejewskiej.

Jądro młyna to maszyny. Strzeżliwie zazdrośnie starsi robotnicy, nie dopuszczając „knipsów” do „fachowej roboty”. Z młodych znali się na rzeczy — kierownik techniczny — Budzyński i dwaj inni — Rachwał i Bardecki. A trzeba było 12-stu, pracujących przy maszynach na trzy zmiany. W takim zespole można było wypowiedzieć wojnę starszym.

Rutynowani robotnicy, chętnie powołujący się na przedwojenną jeszcze praktykę mełli na dobie 24 tony ziarna. Któż śmiałby więcej, skoro za tymi ich tonami przemawia kilkadziesiąt nieraz lat praktyki?

A jednak Budzyński dopiął swego. Zorganizował szkolenie techniczne, do współzawodnictwa doszło. Starzy podnieśli wydajność z 36 tony na 30 ton. Chłopcy na 36. Jeszcze raz ruszyła stara gwardia, ale ledwo 40 osiągnęła. A młodzi 45 ton...

Starzy sięgnęli po rozum do głowy dopiero w fabryce mebli. Tam po raz pierwszy w dziejach Szamotul stary doświadczony majster Błaszczak zorganizował szkolenie młodych, po raz pierwszy nie pozwolił się zagrożony przez młodych. No i zabłysły nazwiska młodzieżowych przedowników pracy, pierwsze w historii fabryki.

Jakże to jest — zapytałam — macie przy tych meblach ten sam materiał, taką samą ilość ludzi w brygadach co i starsi, znacznie natomiast mniejsze doświadczenie, a bijecie ludzi z doskonałą praktyką?

— Robimy rodzaj malej n-rady. Zjawia się majster, jeszcze kilku

młodzieżowców i szukamy źródła sukcesów. Wreszcie Stachowiak, ten sam co to w ostatnim kwartale wykonał 165,3 proc. normy, krzyczy:

— No jasne, jeśli ja wykonuję solidnie robotę a kolega nie nadaje, to mu pomagam. A u starych po staremu, jak swoje robi, to czeka spokojnie na drugiego.

Była to zwykła w gruncie rzeczy rozmowa, ale w dawnym klerikalnym i drobnomieszkańskim miasteczku ma ona szczególną wymowę społeczną. Młodzież rzeczywiście niesie wiosnę, pociąga za sobą starych, popycha ich ku nowym i wyższym, bo socjalistycznym formom organizacji pracy.

To jedna sprawa, ale jest i druga, można rzec, bardzo jeszcze typowa. Młodzież nie żyje intensywnie pod względem kulturalnym. Jej niezwykła energia, młodzieńczość, skupia się głównie wokół walki o wyższe kwalifikacje zawodowe, wyładowuje się we współzawodnictwie z ojcami. Wreszcie brak jej odpowiedniej tradycji zarówno w odbiorze, jak i samym choćby tylko organizowaniu życia kulturalnego. I w tym sensie jej położenie nie jest najlepsze, wymaga natychmiastowej pomocy. Nowak przyznawał mi wiele racji, zgadzał się, że tu już dobrać robotnicy, ale jeszcze nie socjaliści.

Że oczywiście pocieszające, że żaden z młodych nie znał przepowiedni o Halszce z Ostroga, ale czy artykuł o tym w „Tygodniku Powszechnym” napisany przez pracownika Wydziału Kultury, może młodzieży zapewnić bujne życie kulturalne?

W Szamotulach stworzona już została baza, na gruncie której może zakwitnąć nowa, socjalistyczna kultura. Lecz proces ten należy przyspieszyć, dostarczając i likwidując wroga na tych pozycjach, jakie jeszcze udało mu się zachować.

Helena Borkowska

Zalewski, stary i doświadczony rolnik, zaklina się gorąco:

— Gdyby nie to, że samiśmy to siali, zbirali, młócieli, wazyły — kto-by uwierzył? Młodziaki są te POM owskie agrotechniki i traktorzyści, ale wybrali ziemię i uprawili, ze...

I chłop miał w ustach nie wypowiedziane i nie odnalezione jeszcze dla określenia rozumu POM-owców słowo. Bo rzeczywistość: rzetelna wiedza agrotechniczna w połączeniu z solidniejszą niż w poprzednim roku robotą spółdzielców, dały nadspondowanie piękne rezultaty. W porównaniu z rokiem 1951 wydajność żyta z 1 ha wzrosła o 3 kwintale, pszenicy — o przeszło 10 q (tak, przeszło 10 q), jęczmienia — o 5,5 q, owsa o 7 q.

Z tą świetnością spółdzielczych urodzajów nierazeralnie sprzął się rozwój świadomości indywidualnego gospodarującego chłopów z Ładziną.

Jeszcze się żniwa na dobre nie zaczęły, kiedy Małachowski z Ładziną przyniósł strasznie wypisane podanie do zarządu spółdzielni w Mokrzycu.

„Dopraszam się członków spółdzielni produkcyjnej — wypisał spracowaną ręką — o przyjęcie mnie na członka do swojej spółdzielni. Z powodu, że u nas, w Ładzinie, nie ma takiej spółdzielni. A dlatego ja widzę, że wspólna gospodarka jest wydajniejsza, i że na zespołowej gospodarce stosuje się najnowomodniejsze maszyny, ktre ułatwiają pracę”.

Gorąca była dyskusja nad ową prośbą. Zakończyła się tym, że „ogólne zebranie członków Rolniczego Zespołu Spółdzielczego „Wolność” w Mokrzycu Wielkiej postanawia podanie ob. Mariana Małachowskiego z gromady Ładzin załatwić odmownie”.

Chlewmistrz Antoni Kalinowski powiedział na tym zebraniu do Małachowskiego:

— To, żeś przejrzał na własne oczy, to jest dobrze, ale nie to wszystko. Inni też, co są jeszcze jako krety ślepi, też potrzebują przejrzeć. A ty z własnej gromady rejtujesz. Ślepych tam chciałbyś zostawić. Nie, tak u nas nie idzie. Wracaj do Ładzin, wytumacz ludziom, załóżcie i wy...

— „Nasza uczciwa praca pomnożyła nasz wspólny dorobek. W roku sprawozdawczym 1952 podnieśliśmy, w porównaniu do roku 1951, stan bydła z 20 do 42 sztuk, trzody chlewnej z 6 do 39 sztuk, owiec z 16 do 36 sztuk, oraz zwiększyliśmy ilość pni pszczoł z 3 do 10. Wykonaliśmy wszystkie obowiązki wobec państwa honorowo i splaciiliśmy zaciągnięte długi w całości. Rzetelna praca dała nam pomyślną dźniówkę obrachunkową. Jedna dźniówka wyniosła u nas w roku bieżącym: 7 zł 20 gr. gotówka, 3,75 kg żyta, 1,5 kg pszenicy, 1,35 kg jęczmienia, 1,10 kg owsa, 5,5 kg ziemniaków. Na rodzinę przypadło po 150 kg cukru...”

Przewodniczący Zalewski zaczynał już dostawać chrypkę, a na wysokości, wysysiałe czoło wystąpiły mu drobniutki kropelki potu. Nie przyzwyczajony był do czytania, a sprawozdanie zarządu nie grzeszyło zwięzłością. Totęż z westchnieniem serdecznej ulgi oddał głos młodej kobiecie z dziewczęcym warkoczykiem, rejonowemu agronomowi POM, która zaczęła z niezwykłą dokładnością referować projekt trzyletniego planu rozwoju spółdzielni. Projekt śmiały, porywający a najzupełniej realny.

Pogłowicie bydła wrośnie w roku 1955 do 90 sztuk, pogłowia trzody chlewnej — do 75, owiec — do 100. Przeciętna waga żywca wotowego podwyższy się z 200 kg w roku 1952 do 250 kg w roku 1955, żywca wieprzowego — ze 100 kg do 150 kg. Przeciętna roczna wydajność mleka od jednej dojnej sztuki z 4.365 litrów osiągniętych obecnie podniesie się do 8.365 litrów, co, wraz z planowym zwiększeniem pogłowia, pozwoli w ciągu roku wyprodukować 87.600 litrów mleka, zamiast dzisiejszych 14.600 litrów...

I wówczas to — kiedy jeszcze nie ustął szmer podnieconych głosów, cicho komentujących zasłyszane nowiny, kiedy przewodniczący nie zdążył jeszcze wykrzusić z siebie sakramentalnego: „otwieram dyskusję”, zagrzmiął dziadek Kalinowski. Bez przesady — zagrzmiął. Aż szły w świetlicy zadzwęczały. Zupelnie tak, jakby dziadkowi ze 40 lat i cała astma w oka mgnieniu u była.

— A nie mówiłem! Ot, macie waszą spółdzielnię! Ale ja na to nie pozwolę! Jest dla chłopów wolność w

spółdzielni? Jest! Mam ja tutaj wolność i prawo rzeczenia? Mam! Więc dla mnie te plany i pisma, to zawracanie głowy, panie święty! Bo ja się pytam: gdzie tam macie miód!?

Zebrał, a zarząd w szczególności, odetchnęli z ulgą. Jasne, jakże mogli przeoczyć fakt planowego powiększenia pasieki. Natychmiast, od ręki, dokonano poprawki. Postanowiono, że spółdzielca pasiekę powiększy się do 25 pni. Na twarzą starego Kalinowskiego dopiero teraz zajaśniał błogi uśmiech. — Tak, to rozumnie, wolność nastąpiła...

Po dziadku zabrał i inni głos w dyskusji. Właściciel, prawie wszyscy. Między innymi mówił Albin Rek. Spokojnie i rozważnie, po gospodaraku, mówił. Dowodził, że sposobem na zwiększenie majątku spółdzielni, na podwyższenie dźniówki obrachunkowej, jest zwiększenie uprawy roślin przemysłowych. Więc on proponuje, żeby w przyszłym, 1953 roku, powiększyć areal buraków cukrowych z 4,5 ha do 6 ha. Bo to, tłumaczył, wiadomo: i cukier i pasza. I żeby w większym stopniu uprawiać warzywa. Aha, i jeszcze sad. Żeby przynajmniej jeden hektar w niedochodzącą wiosnę zasadzić. No, bo jak spółdzielnia, to spółdzielnia...

Dzieje tegorocznego przełomu, jaki miał miejsce w Mokrzycu, uzupełnił mi późną porą młody chłopiec, POM owski starszy agronom, Zbonikowski.

— Ale, ale — zawołał, gdyśmy się już zgnali. — Zapomniał bym wam powiedzieć. W Ładzinie tylko pa-trzcie, jak spółdzielnia powstanie. Jek się od tego Małachowskiego zaczęło, tak już do 7-miosobowego Komitetu Założycielskiego doszło. Byłem tam u nich niedawno. „A no, — mówi do mnie ich sołtys, Zakrzewski — jak już weszliście, to i nam nie honor być ostatnimi. Socjalizm, znaczy się, budować”. I w ogóle, ogromnie się tą swoją przysłą spółdzielnią kłopotacz. Budynki gospodarce gorsze są u nich, niż w Mokrzycu. Naradzają się, żeby od razu zacząć budować nowe. „Tylko — powiadają — jak budować to nie caś takiego, co by się za trzy lata przewróciło. Jak budować, to solidnie. Żeby mogli kiedyś wycieczki przyjeżdżać, oglądać...”

Pojmujecie, już o wycieczkach myślą.

Bohdan Chocianowicz

REFORMA OBROTU TOWAROWEGO NA WĘGRZECH

(dokończenie ze str. 3)

skoro chłop mełorolny napychał teraz zaczął brzech za wszystkie dawne lata głodu, a równocześnie coraz częściej i powszechnie wychodzić na rynek zakupu towarów konsumpcyjnych.

W nowej sytuacji Węgier przemysłowych niewspółmierność między rosnącym popytem a rosnącą podażą musiała się początkowo zaostriżyć. Wynikała bowiem ze zmian strukturalnych, Chłoptwo, które dotąd już a i dalej kupowało również towary żywnościowe jak cukier, tłuszcz, mięso itp. nie dotrzymało kroku zapotrzebowaniu na produkty rolne miast i klasy robotniczej, szybko powiększających się liczebnie. Z drugiej strony gwałtowny rozwój przemysłu w wielkiej części objął rekonstrukcję, która była i jest jeszcze w toku, a która tworzy przemysł ciężki, fundament gospodarki narodowej, dlatego doraźnie nie wpływa jeszcze na gwałtowny rozwój przemysłu konsumpcyjnego.

Tę nową sytuację chciał — tak jak i u nas — wykorzystać wróg klasowy, kułak i spekulanci. A miał po temu dwie dodatkowo jeszcze sprzyjające okoliczności.

Pierwsza — wywodziła się z układu cen na towary (rolne w pierwszym rzędzie ale również przemysłowe), ustalonego w pierwszych latach po wyzwoleniu, w sytuacji kraju jeszcze rolniczego, o niskiej technice i małej wydajności, w sytuacji więc charakteryzującej się słabą zdolnością nabywczą mas pracujących. Ten układ cen w nowych warunkach Węgier przemysłowych, kiedy siła nabywcza powszechnie już podrosła wysoko a „lepsze życie” parło do dalszego wzmaganie popytu — stwarzała dla spekulacji okazję do wykupywania (taniach przeciej) towarów rolnych i przemysłowych, do ich przetrzymywania i manipulowania takiego, aby w „kółkach zapotrzebowania” wyściskać od konsumentów paskarskie ceny. Ten proces rozwijającej się anarchii rynkowej zabierał miarę pracującym część towarów, a kiedy je zwracał, brał z kolei haracz spekulacyjny i zubożając je i pomniejszając ich siłę nabywczą, potęgował akumulację kapitalistyczną przez okradanie akumulacji socjalistycznej. Uderzał w rezultacie podwójnie w wielką rekonstrukcję bazy przemysłowej, odciągał bowiem z dochodów ludzi pracy inwestycje na rozwój potęgi gospodarczej Węgier a „drożyzną” zniechęcał do wydajności pracy, skoro na nieustabilizowanym rynku cen tracili na wartości realne zarobki robotników. Normom akordów nie odpowiadały skaczące, rozdywżone „normy” spekulanci.

Druha przyczyna. Rolnictwo na Węgrzech do roku 51 w ciągu kilku lat spotkało wiele klęsk klimatycznych. W 50 roku bardzo silnie odbiła się susza na zbiorach pasz (wielki nierozdaj buraka cukrowego), co spowodowało spadek trzody chlewnej o 1/3 bydła o 15 — 20 proc. Zły urodzaj ziół doprowadził do wyrzucania drobiu (który na Węgrzech stanowi nie małą pozycję w gospodarce chłopskiej). Wszystko to wywołało brak mięsa i tłuszczu, co z kolei zwiększyło zapotrzebowanie na chleb i cukier. A przy niskich cenach na chleb rozluźniały się spekulacja i przeróżne kombinacje, jak wykupywanie chleba z państwowych sklepów i spisanie go bydlęm lub spisanie własnego zboża, a do spożytkowania kupowane. Kułacy, którzy mają największą siłę pociągową (konie) i tradycje zarobkowania „woźniców” przy pomocy swych zaprzęgow obwołali się na sumę milarda forinów na wielu nowych budowach, tucząc równocześnie konie bochenkami chleba.

W połowie 51 r. rząd ludowy wprowadził częściową reglamentację na artykuły żywnościowe, aby doradnie zabezpieczyć klasę robotniczą przed hydry spekulacji. Ale przez dwie ceny — bonową i rynkową, kiedy w zapleczu naciskał niedostatek mięsa i tłuszczu „uzyskały nowe możliwości istnienia niedobitki klasy kapitalistów — mówili Rakosi — które zręcznie wykorzystują tę koniunkturę... Ceny produktów na wolnym rynku, które wzrosły kilkakrotnie, niestychanie zwiększyły dochody kułaków i bogatych chłopów, ponieważ mieli oni największe nadwyżki mięsa, drobiu, masła, jaj itd.”

Rząd więc wystąpił z Uchwałą (2 grudnia 51 r.), której realizacja odbierała spekulantom i kułakom panowanie nad wolnym rynkiem. Reglamentacja cen (obliczona pod kątem wolnego rynku) przy wyrównaniu plac zapewniła robotnikowi stabilizację cen na rynku i wzmocniła przez to bodźce do zwiększenia wydajności pracy. Podniesienie cen na towary rolne, zniesienie reglamentacji i otwarcie wolnego rynku dla nadwyżek (poza skutem i kontrakcją) uomeno na wśł bodźce do podnoszenia produkcji rolnej.

Uchwała ta zadala druzgocacy cios elementom kapitalistycznym na rynku. Odebrała bowiem korzyści paskarskie z gromadzenia zapasów i wykupywania dla spekulacji towarów z państwowych sklepów.

Uchwała ta przywróciła i ustaliła właściwą równowagę, właściwy stosunek wzajemny między zdolnością nabywczą ludności a istniejącym zapasem towarów.

Wprowadzenie Uchwały stało się możliwe dlatego, że po 1) jak to przedstawiliśmy wcześniej — rok 51, drugi rok Planu 5-letniego, wykazał w przemyśle i rolnictwie nową poważną wzrost, a więc w sytuacji nowej, Węgier przemysłowo-rolnych. Ukazał zatem, że w ma-

TEOFIL KOWALCZYK

O zmorach pijących krew

MAIEM może 9 lat, gdy zachorował wuj Stach. Narzekał na bóle w piersiach, pocił się w nocy i chudł z dnia na dzień. Pił śmietanę, lykał rosoly z kur i nic nie pomagało. Wreszcie babka, poczciwa, ale ciemna kobieta powieździała:

— Nic ze Stacha nie będzie. Zmora pije z niego krew. Rzeczywiście. Po roku wuj umarł, a ja wtedy uwierzyłem w zmyry, które piją ludzką krew. Wyobrażałem je sobie mętne jako ptaki latające nocą lub nietoperze. Pojęcie zmyry zacierało się z czasem, by wreszcie odżyć, ale w postaci...

Cztery lata później znalazłem się na wiecu robotniczym w Miechowie. Jakiś mówca grzmiał, że właściciel młyna parowego gnębi robotników i pije z nich krew. Przysłuchałem się tym robotnikom. Byli chudzi i bladezi jak wuj Stach. Właściciel młyna, którego pokazano mi na drugi dzień był dobrze odżywiony, pulchny jak pączek i różowy na twarzy. Pojęcie zmyry nabrało realnych kształtów. Przestało być chimera, ptakiem nieokreślonego wyglądu i lotu. Stało się po prostu człowiekiem, takim krzywdzi, wyzyskuje innych.

Znany jest wszystkim plac Nankera we Wrocławiu. Tu chłopci z okolicy zwożą we wtorki swoje produkty na targ, tu też snują się ludzie, których jedynym zajęciem jest spacer od wozu do wozu. Czasem są źle, czasem dobrze ubrani, ale to nie ma znaczenia. Pozory zewnętrzne często mylą. Panna Jaroszeńska Maria, w roku 1951 pracownik Hurtowni Ceramiki we Wrocławiu, założyła na placu Nankera własną firmę pod nazwą „Marysia”, bo nie „opłacało” jej się pracować w Hurtowni za 600 zł. Firma ta nie była przez żaden urząd koncesjonowana, ale któż prócz organów M.O. zwraca na to uwagę. „Marysia” zajęła się handlem mięsem, słoniną, pończochami, obuwem, towarami tekstylnymi, czym się zresztą dało. Obok niej zajęła stanowisko Karasiewicz Kazimiera, pod nazwą „Ślepa Kazia”, a nieco dalej od niej Jaśkiewicz Danuta. Tej dano miano (w żargonie handlarzy) — „Cyganka”. W tym samym czasie, t.j. w roku 1952 w Legnicy „pracował” Nahujojski Ludwik. Był to rutynowany handlarz. W 1950 roku pracował w P.D.T. jako kierownik stoiska z galanterią. Nigdy u niego nic dobrego nie można było kupić, bo wartościowy i pokupny towar zbywała żona na czarnym rynku. „Podpadł” dyrekcji P.D.T. w Legnicy i został zwolniony, lecz wcale się tym nie zmartwił. Poszedł do M.H.D. i został kierownikiem sklepu z galanterią skórzaną. Jako ekspedientka pracowała tam Bańkowska Jadwiga.

Zapytacie, co miał wspólnego plac Nankera we Wrocławiu z Nahujojskim? Owszem, miał. Jaroszeńska Maria czyli „Marysia” z placu Nankera znała Nr telefonu sklepowego Nahujojskiego. Telefony w handlu grają ważną rolę, nie mniejszą od kolei. „Marysia” często rozmawiała telefonicznie z Legnicą. W wyniku takich rozmów Bańkowska Jadwiga wraz z żoną Nahujojskiego wozili obuwie importowane z Czech i Węgier oraz inne wyroby skórzane — z magazynu sklepu M.H.D. w Legnicy do mieszkania „Marysi” we Wrocławiu. Tu następował dalszy obrót to-

sach pracujących miast i wsi wzmagająca się pełna poświęcenia i wytrwałości praca dla rozwoju potęgi gospodarczej kraju, dla rozwoju socjalizmu. Że, zatem, usuwając źródło częściowego zahamowania produkcji, jakim był zanarichowany, spekulacyjny rynek, można liczyć na wzmocnienie sił wytwórczych i na tej drodze na sprawliwie podnoszenie dochodów i stopy życiowej mas pracujących.

Wprowadzenie Uchwały stało się możliwe dlatego, że po 2) i przemysł nagromadził już pewne rezerwy towarowe i rolnictwo osiągnęło w tym roku najwyższe zbiory a postawa obywatelska chłopów w skupie i w rozszerzeniu kontraktacji (walka podjęta o rozwój hodowli), obok już powstałej rezerwy plodów rolnych gwarantowała tym większą wydajność przy korzyściach, płynących z Ustawy.

„Dziesiąta nasza decyzja — mówił Rakosi 30 listopada 51 roku, przedstawiając projekt Uchwały — pod względem swego znaczenia jest kontynuacją tej drogi rozwojowej, która pozwoliła nam stworzyć mocną i stałą walutę, zracjonalizować przemysł, przystąpić do socjalistycznej przebudowy wsi i całego kraju”.

O doniosłości Reformy obrotu towarowego na Węgrzech może nam już powiedzieć z perspektywy roku kilka wskaźników.

Oto — mimo suszy, która znów nawiedziła Węgry w 52 roku — obniżyły się znacznie ceny słoniny, mięsa, tłuszczów, drobiu, na rynku teraz już wolnym i jedyim.

W ciągu pierwszych 10 miesięcy 52 roku spożycie w miastach wzrosło na głowę:

mąki — 31,8 proc., chleba — 7,9 proc., cukru — 24,5 proc., mięsa — 4,6 proc., tłuszczu — 46 proc., jaj — 21,6 proc., masła — 49,3 proc.

Wydajność pracy w przemyśle wzrosła ogólnie o 24 proc., w przemyśle ciężkim o 24,9 proc. w stosunku do roku 51.

Już w ciągu 10 pierwszych miesięcy przemysł dał gotowej produkcji o 25,2 proc. więcej, ciężki przemysł o 32,5 proc. więcej w stosunku do roku 51.

warem. Część brała „Ślepa Kazia”, część „Cyganka” czyli Jaśkiewicz Danuta. Podobne historie powtarzały się z pończochami. Obuwie, które w sklepie M.H.D. w Legnicy kosztowało 180 do 250 zł. — na placu Nankera miało już wartość 500 zł. ponieważ wchodził w nią „zarobek” i „Marysi” i „Ślepej Kazii” i „Cyganki” i Nahujojskiego i Bańkowskiej. Pończochy jedwabne zamiast 18 zł. kosztowały 60 zł. Zarobki takie uzyskiwała ta zgrana paczka spekulantów z kieszeni chłopca, który przywoził na targ swoje produkty, a w zamian kupował towary przemysłowe — oraz z kieszeni wrocławskiego robotnika. Czy wychodziło to chłopu i robotnikowi na zdrowie? Na pewno nie. Chudli im kieszenie, a tym samym chudli i oni. Zmyry piły z nich krew. Nahujojski nie ograniczał kontaktów „handlowych” tylko do



Rys. Bimal Horska

znajomości z „Marysią” czy „Ślepą Kazią”. Jak zeznała w Wydziale Śledczym M.O. Jaroszeńska — handlował on i z innymi „firmami” i nie tylko z placu Nankera. Nic dziwnego, że możliwości nabywania towaru w sklepie państwowym w Legnicy były ograniczone. Nic dziwnego, że formowały się ogonki. Na placu Nankera ogonków nie było.

W gromadzie Mściwojów. pow. Jawor jest sklep Samopomocy Chłopskiej. Kierownikiem tego sklepu w 1951 roku była Cieszeńska Maria. Zarabiała 500 zł. i miała na utrzymaniu: dziecko, którego ojcem był Ryzner Wojciech; tenże po opuszczeniu w 1950 roku obozu pracy nigdzie nie pracował, mimo to Cieszeńskiej dobrze się powodziło. W październiku 1951 roku brała z Ryznerem ślub kościelny. Z tej okazji zakupiła meble za 3000 zł, zabiła 3 świnię i krowę, a siostrze Janinie dała 1900 zł. i szereg podarunków dla ojca w Zawierciu. Ryzner często wyjeżdżał do centralnej Polski z ciężko wyładowanymi walizkami. Pewnej nocy dokonano włamania do sklepu. Przedmiotem rabunku stały się towary, przede wszystkim skóra, wartości 35 000 zł. Cieszeńska zawiadomiła o włamaniu milicję, a równocześnie zleciła Ryznerowi rozsytać po schodach prowadzących na strych starty na proszek tytoń, „żeby pies milicyjny stracił węch”. Te nalwne wybiegi nie zdały się na nic. Przeprowadzona rewizja u Cieszeńskiej, u jej brata Stefana i u ojca w Zawierciu ujawniła jeszcze nie sprzedane 60 m. materiałów tekstylnych, 300 kg. cukru i 9 skór wypra-

GÓRNY STANISŁAW

O garncarzach z Pawłowa

W Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Pawłowie można oglądać stare roczniki z XVIII i XIX wieku „Książ Rejestrów Życia i duplikatów”. Na poźółłkach od staroży, kartach widnieją nazwiska byłych sławnych pawłowskich „mistrzów-garncarzy”, sprzedających trudniących się do chwili obecnej tym zawodem rodzin: Koszów, Ciechomskich, Kozłów, Zaworonskich i szeregu innych.

W 1937 r. w Pawłowie powstaje spółdzielnia garncarska, do której przystępuje 10 członków. Zaczęto nawet wznosić systemem gospodarczym wspólny warsztat pracy. Ale wybuch wojny w 1939 roku i walka z okupantem całkowicie zniszczyły rozpoczęte dzieło.

Dopiero ustrój Polski Ludowej położył kres nędznej vegetacji chałupników pawłowskich. W 1949 r. zorganizowano Spółdzielnię WYROBÓW CERAMIKI Użytkowej i Galanterijnej, do której przystąpiło 17 chałupników. Ale mimo udzielonego przez Państwo ponad stu tysięcy kredytu na budowę wielkiej hali produkcyjnej, pozostała część chałupników ociagała się jeszcze z przystąpieniem do spółdzielni. Między innymi nawet produjący dziś i cieszący się poważaniem w spółdzielni, podszły już wielkim garncarz Michał Zolnierz uległ plotce Albina Gruntkowskiego, miejscowego handlarza — „...na upalanie w piecu węgelnym i z kominem szkoda nawet czasu. Każdy jeden garnek peknie, a członkowie pójdą z torbami. Lepiej już trzymać się starej metody”.

Wbrew przewidywaniom spekulantów członkowie nie poszli „z torbami”, gdyż spółdzielnia uzyskiwała coraz lepsze wyniki i dawała coraz lepszy zarobek. W 1950 r. spółdzielnia skupiała już 80 członków, a w pierwszej połowie bieżącego roku liczyła 97. Obecnie Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i

wionych ciełych. W ten sposób Ciszewska „rozprawiała” na wsi artykuły przemysłowe. Oczywiście jest rzeczą, że zbrodniczą parkę aresztowano. Teraz stało się jasne skąd Ciszewska brała pieniądze. Zmyry zagłodziły się więc i w Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Na czym bazował tacy spekulanci i krwiopijcy? Na różnicy cen towarów sprzedawanych przez Państwo a ich wartością rynkową. Cena pończoch jedwabnych pobierana przez placówkę handlu społecznego wynosiła 18 zł. Ich wartość spekulacyjno-obiegowa — 60 zł. Cena obuwia 180 — 250 zł. jego wartość czarnorynkowa 500 i więcej złotych. Spekulantowi Nahujojskiemu opłacało się nabyć te towary nielegalnie w sklepie, a następnie sprzedać „Ślepej Kazii” czy „Marysi” powiedzmy

po 300 zł., a tym znowu kupić bo zysk był pewny. Te same motywy kierowały Ciszewską i Ryznerem z tym, że Ciszewska z okazji ślubu i wesela potrzebowała większej gotówki i dlatego sfingowała włamanie do sklepu, żeby „doszkodzić” na jeszcze więcej. Żądza zysku i okoliczności dyktowały im metody nadużyć, ale baza na której żerowali była ta sama. Przechwytywali wartości, wyrażające się w różnicy cen, które Rząd Ludowy przeznaczał dla klasy robotniczej i chłopstwa pracującego w ich obronie. Tuczyl się ich krzywdą. Podobnie zresztą postępowali na rynku mięsa i tłuszczu. Dlatego gromem z jasnego nieba stała się Uchwała Rady Ministrów z dnia 3 stycznia. „Kolejną staję się w obecnych warunkach bardziej szeroka i wszechstronna” reforma obrotu towarowego na podstawie nowego poziomu cen i nowego zmniejszonego stosunku między cenami towarów przemysłowych i rolnych. „Kolejnym jest utrącenie spekulantom i przakupom możliwości żerowania na różnicach cen, na dwóch ich różnych poziomach — państwowym i wolnorynkowym”.

Zarobki i wartości, które przechwytywał w zbrodniczej działalności Nahujojski, Ryznerowie i „Ślepe Kazie” wpłyną do kas państwowych i użyte zostaną na rozbudowę naszego przemysłu, na rozszerzenie świadectw Państwa dla robotnika i chłopca pracującego.

„Przegrywujemy swoje siły, aby w nowym szyku, skutecznie bić wroga klasowego, rozgromić spekulantów...” — zmyry człekokształtne.

Teofil Kowalczyk

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Kronika radziecka

CZASOPISMA LITERACKIE

OSTATNI (12) numer miesięcznika literackiego „Zwiewy” przynosi obszerną powieść Joanny Hausner pt. „Zobacz Moskwe!”. Jest to pamiętnikarska relacja z lat walki ludu francuskiego pod przewodnictwem KPF przeciwko hitlerowskiemu okupantom. Bronisław Kezun publikuje (w tymże numerze) cykl wierszy o budowie kanatu Wolga — Don. W związku z XIX Zjazdem KPZR wypowiedzią się W. Sajonow (literat), M. Kowalow (stynny konstruktor z Zakładów Metalurgicznych im. Stalina) oraz A. Bajkow (starszy majster fabryki im. Krowa). Trójgłos pisarza i robotników dokumentuje wielki entuzjazm, z jakim naród radziecki wypełnia wskazania Zjazdu. W. Sajonow, pisząc o zadaniach, stojących przed pisarzami, stwierdza: „Referat tow. Malenkowa, wygłoszony na XIX Zjeździe ma ogromne znaczenie w walce w imię prawdy w sztuce, ze sploteniem w literaturze oraz wulgaryzacją”.

Grudniowy zeszyt miesięcznika literackiego „Oktabr” publikuje końcową część powieści A. Gonczarowa pt. „Nasz korespondent”, opartą na tematyce wojennej i dwa opowiadania o walce kolchozników z wrogiem klasowym pt. „Czeremcha” pióra A. Mustawozi. W dziale krytyki godne uwagi jest studium J. Uchanowa, analizujące obraz klasy robotniczej w twórczości Gładkowa.

Przeznaczona prozą część ostatniego numeru miesięcznika literackiego „Znamia” wypełnia w przeważającej mierze Irina Lwczenko „Powieścią o wojennych latach”. W dziale poezji odnajdujemy cykl wierszy Włodzimierza Ługowskoj pt. „Główny Turkmenski”. Mowa w nich o budowie nowego kanału na imponującej trasie 1100 kilometrów.

Wystąpienie Malenkowa w związku z sytuacją literatury radzieckiej wywołało żywe poruszenie wśród pisarzy. W miesięczniku „Znamia” w „Trybunie pisarza”

głos zabiera laureat nagrody Stałtowski Stepan Zlobin, autor głośnej powieści historycznej „Stepan Razin”. Zlobin relacjonuje głębokie refleksje, jakie nasunęły mu słowa Malenkowa. Pisarz zamierza opracować w formie beletrystycznej początki ruchu robotniczego Rosji w końcu ub. wieku, ale pod wpływem nauk XIX Zjazdu — zwrócił swoje zainteresowanie ku współczesności. „Nasza radziecka rzeczywistość — pisze S. Zlobin — niesie ze sobą niespotykane dawniej bogactwo zagadnień i palących problemów w zakresie osobistej, rodzinnej i społecznej moralności, w zakresie rozwoju i społecznego zastosowania uzdolnień i talentów, w zakresie roli „prostych”, szeregowych ludzi w wielkich historycznych wydarzeniach...”. „Wszystko to dla nas, radzieckich pisarzy, nie jest nowym zagadnieniem, ale postawienie tego problemu w świetle historycznego rozwoju, w związku z nieprzerwanym przeobrażaniem się radzieckiego społeczeństwa stanowi właśnie nowość, którą musimy badać...”. „Dlatego właśnie poczułem nieprzetrętą chęć pokazania w następnej powieści naszej dzisiejszej radzieckiej prawdy; przedstawienia, w miarę moich możliwości, jak w świadomej, socjalistycznej, twórczej pracy czło-wiek, uzbrojony w znajomość praw społecznego rozwoju, przestaje być wiórem niesionym przez potok historii, ale osiąga rolę budowniczo nowego społeczeństwa, inżyniera historii ludzkich losów”.

Zadania literatury radzieckiej w świetle XIX zjazdu omawia W. Iwanow w artykule pt. „Wyżej podnieść ideowo — artystyczny poziom dzieł literatury radzieckiej”. „Radzieccy pisarze — przypomina Iwanow — nie mają i nie mogą mieć żadnych innych interesów jak tylko interesy narodu, interesy państwa”.

W ostatnim numerze miesięcznika literackiego „Nowy mir” zwraca uwagę nowy dramat Hikmeta al. „Legenda o miłości” oraz obszerny dział krytyki.

NA TEMAT SZKOŁY

„TRYBUNA czytelnika” jednego z ostatnich numerów „Zwiewy” publikuje garść listów nauczycielstwa radzieckiego na temat radzieckiej literatury, przedstawiającej życie szkoły i postacie pedagogów. Chodzi przede wszystkim o zbiór szkiców pt. „Nauczyciel szkolny”, w którym wychowawcy zwierają się ze swoich przeżyć i dzielą się pedagogicznymi doświadczeniami oraz o pamiętnik nauczycielki wiejskiej N. Kozowej pt. „Pół wieku w szkole”. Czytelnicy, wychowawcy młodzieży na różnych terenach podkreślają jednogłośnie korzyść z lektury artystycznej, pomocnej w dziele wychowania. Doświadczenia pedagogiczne, podane w formie prozatorskiej opowiadania czy pamiętnika, pomagają wykładowcy w jego pracy.

Inny nauczyciel czytelnik w liście pt. „Kolektyw pewnej klasy” stwierdza, że nieodowną podstawą życia każdej szkoły jest silny, żyty ze sobą kolektyw. Co pomaga stworzyć kolektyw? Poszanowanie indywidualności każdego ucznia przy poważnym, nacechowanym czujnością stosunku do jego charakteru.

Pamiętnik „Pół wieku w szkole” pióra N. Kozowej opowiada o ciężkiej pracy nauczycielki wiejskiej w latach carskiej reakcji i o radzieckiej szkole. Jest ciekawy, gdyż zwraca uwagę na konfrontację i wyciąganie wniosków Pierwszy — to szacunek i miłość prostych ludzi do pracy nauczycielskiej. Drugi wniosek — dotyczy przydatności pracy posażonej społecznej nauczycielstwa dla zawodu pedagogicznego. Nauczycielstwo o takim powołaniu posiada szersze horyzonty umysłowe, bogatsze doświadczenia życiowe — i w rezultacie umie wyjść na spotkanie ludziom. Siła radzieckiego nauczycielstwa — pokazuje N. Kozowa — szczególnie młodego, przewaga tego typu wychowawców nad pedagogami, którzy przyszedli do szkoły przed rewolucją, zasada się na tym, że nowi ludzie od uczesnych lat posiadają szeroki krąg zainteresowań społecznych i mają możność aktywnego uczestnictwa w życiu otczenia. Te cenne cechy pomagają im w pracy wychowawczej, umacniają żywą więź między szkołą a rodzinami, między szkołą, a miejscowymi społecznymi organizacjami.

Kierownik szkoły dla młodzieży robotniczej uważa, że największą zaletą wspomnianych książek jest umiejętność pokazania na czym polega powołanie i uzdolnienia prawdziwego pedagoga. Stanowi je „indywidualne podejście do młodzieży; umiętne, twórcze, elastyczne stosowanie środków wychowawczych; nie dopuszczanie do szablonu w sprawie tak nadzwyczaj subtelnej i odpowiedzialnej jak wychowanie”. Korespondent zauważa, że w wieczorowej szkole wychowawca powinien szczególnie dobrze znać swoich uczniów, ich domową sytuację i warunki pracy, żeby umieć się znaleźć w trudnej sytuacji i przyjąć młodzieży z po-

MANOWCE I LEKCJA WRZESNIA

(dokończenie ze str. 4)

krowski wykorzystać epizody z powodzeniem. Dialog Gembarzewskiego z komunistami, którzy uciekli z siedleckiego więzienia, rysując postacie komunistów schematycznie, sztywno i nieprawdziwie. Dobosz i Sznajder przebiegają się w żołnierskie mundury, nie mają wątpliwości co do tego, że mimo rachunków krzywd winni podjąć natychmiast walkę z wrogiem, ale nie wyrażają organicznie z klimatu powieści, z tej wiedzy o Polsce przedwrześniowej, która jest w „Dniach klęski” rozsypana we wspominkach. Są przyszyty wyraźnymi niestety swami jakomurze jeden epizod, jeden z wielu.

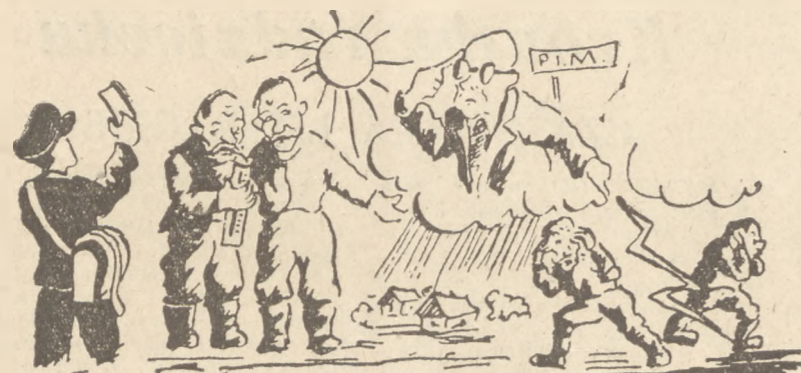
Mimo braku bohatera, w którego umyśle uświadamiałaby się wiedza, wynikająca ze zgrupowanego w „Dniach klęski” materiału, wyłania się z kart tej książki Wrzesień taki, jaki był dla szerokiej mas narodu — tragiczny. Ale jest ponad tym tragizmem wiara w przyszłe zwycięstwo, zwycięstwo ostateczne.

Andrzej Lam

W „Dniach klęski” walczy bowiem Żukrowski-realista z Żukrowskim-żywiotowym naturcą. Szlak tej walki wiedzie poprzez „Córce” do „Dniach klęski”. Z zapasów wychodzi pisarz zwycięsko. Nie rezygnuje z obiektywnej, szerokiej wiedzy społecznej nawet wtedy, gdy zapamiętywa się w opisie wyizolowanych sytuacji. Daje to gwarancję prawidłowego

Górny Stanisław

Jan Kosicki



Rys. Bimali Horską

WOJCIECH DRYGAS

ZASIALI DESZCZ — ZEBRALI BURZĘ

Z inicjatywą podjęcia wielkiej operacji handlowej w nieznaną dotąd Kozłowi dziedzinie, wystąpił ojciec jego przyszłego zięcia Franciszek Judaszek. Plan opracowany przez Judaszka był fenomenalny i sprowadzał się do stwierdzenia, że warunki atmosferyczne dobre czy złe, sprzyjające rolnikowi czy niesprzyjające, należą w obu wypadkach do ludzi przedsięwziętych. Do takich ludzi należeli niewątpliwie Kozioł i Judaszek, których sąsiadując ze sobą grunta obejmowały pół ćwierci wsi. Jak dowodzi historia społeczeństwa, właśnie tego rodzaju kategoria przedsiębiorców wiejskich żywi słabość do poglądów na świat, iż silny triumf nad słabszym. Obaj wielcy sąsiadzi postanowili zatrudnić w całości okolicę Szpakowic, uciążliwych w niewielką niekłą poród spalskich lasów.

Zanim jednak doszło między nimi do decydującej rozmowy i w mózgu Judaszki zrodziła się kapitalna koncepcja wykorzystania sił przyrody dla celów spekulacyjnych, trzeba było pewnego pisma zadreśowanego do miejscowej GRN, w którym Państwowy Instytut Hydro-Meteorologiczny zapytany uprzejmie, czy na terenie Szpakowic, położonych w dogodnym miejscu, istnieje możliwość założenia stałego punktu obserwacyjnego, chodziło po prostu o wyszukanie chętnego rolnika, oczytanego trochę w książkach, któremu można by powierzyć deszczomierz, termometr, wiatraczek z różą wiatrów oraz bloczek meldunkowy do notowania codziennych zjawisk atmosferycznych.

Rzecz oczywista, gmina nie przywiązywała większego znaczenia do meteorologii, toteż dopiero czwarte z kolei ponaglenie wyrwało miejscowe organa z niejakiego uśpienia. Wówczas pojawił się Kozioł z instrukcjami — Judaszka, Gminą pokłoniła głową, pomyślała, zrobiła pewne zastrzeżenia odnośnie kulackiego pochodzenia kandydata, lecz nie znajdując na poczekaniu chętniejszego, zgodziła się na wybór, wychodząc z założenia, że w meteorologii klasowe oblicze Kozła nie będzie miało żadnego wpływu na pogodę.

W ten oto sposób Kozioł stał się użytkownikiem deszczomierza, termometru, wiatraczka z róż wiatrów, oraz bloczka meldunkowego do notowania wszelkich zjawisk atmosferycznych. Nie posiadał on ani jednej spośród właściwości rasowego meteorologa, ale — co nie każdy w Szpakowicach mógł sobie pozwolić — posiadał zadziwiającą chęć służenia społeczności właśnie w tej dziedzinie, a to wystarczało, aby gmina mogła odetchnąć z ulgą i zapomnieć wkrótce o całej sprawie.

Przez z górą pół roku stacja PIHM-u obserwowała z lokacjami — zdawałoby się komuś — meldunków Kozła, nienotowane dotąd w Polsce zjawisko atmosferyczne. Lasy spałskie i rejon Szpakowic dzień w dzień zalewały strugi deszczu, zachłystywały się na stąd ni zowąd dokuczliwymi mżawkami i nawiedzane były periodycznie przez gęstą jak watolina mgłę. Podczas gdy w całym kraju ludzie pracy cieszyli się najspanialszą pod słońcem pogodą — Kozioł uparcie meldował:

„Szpakowice znajdują się pod wpływem słabego układu niskiego ciśnienia. Zachmurzenie duże i gwałtowne opady. W godzinach popołudniowych lokalne mgły. Od południa i południowego zachodu silniejsze wiatry z kierunków zmiennych przeważnie wschodnich, skrajających na północ. Nocą temperatura itd., itd.”

Były szczęśliwe dni, kiedy Kozła zalewała fala cieplejszego optymizmu i wtedy pocieszał on profesorów z PIHM-u możliwościami przejaśnień, zwłaszcza z KIERUNKÓW ZACHODNICH. Lecz już w dniu następnym zapomniał o danym przyrzeczeniu, przerzucając znad Atlantyku do Szpakowic brzdęk gwałtownego wiatru, który czynił lokalne spustoszenia na miarę jakiegokolwiek potopu.

— Jeszcze kilka takich komunikatów — zacierał ręce Judaszek — a zaczną padać na nas w gazetce. A jak zaczną padać, że nas woda zalewa, to pójdziemy z tą gazetą do GRN i powiemy: tu piszą w gazetce, żebyła nas ratowała. Ratujcie nas ludzie! Oni, jak to oni, pokręca nosami: przecież żadna woda was nie zalewa? Co wy od nas chceta? Chcemy zwolnienia od obowiązkowych dostaw — zawołamy. — Chcemy zwolnienia od świadczeń i po-

datków. Jak gazety piszą o nas, że toniemy, to znaczy, że tak musi być, bo gazety wszystko wiedzą. A co powiedzą te gazety jak nas nie zwolnią? One powiedzą: GRN jest szkodnikiem, bo siedzi na tym ichnim wyżym barometrycznym i nie chce widzieć bidaków, co po kolana stoją w niżu. I zaraz napiszą długie artykuły. Wtedy poczujecie współczucie dla rozbitków z ginącego pod wodą świata. Pomyślcie więc: czy nie lepiej zwolnić nas ze wszystkiego po dobroci?

W oczekiwaniu na artykuł o potopie w Szpakowicach, obaj kulacy rozpoczęli wstępne układy ze spekulacjami w Rawie Mazowieckiej. Na podstawie łączących ich z nimi stosunków rodzinnych mieli prawo przypuszczać, że zamierzony interes prosperować będzie znakomicie. Mięso przeznaczali dla Warszawy, wszelkie kasze perlowe miały płynąć do Łodzi, Warszawskie i Łódzkie handlarce otrzymały zauszaczętość wskazywały, w jakich gatunkach tkanin i obuwia i w jakich ilościach wiader i różnego rodzaju artykułów żelaznych mają lokować zyski obu przedsiębiorców. Co prawda do zmontowania interesu o tak olbrzymim rozgałęzieniu potrzeba było trochę kapitału. Kapitał miała zrobić tragiczna notatka prasowa o potopie. W tej nadziei kulacy rzucili na szalę szczęścia całą posiadaną przez siebie gotówkę (w tym odłożone pieniądze na spłacenie należności podatkowych). Gra była rozgrywana!

W tym samym czasie profesora-wie PIHM-u lamali sobie głowy nad zgłębieniem zagadki „niecki albo piekiełka szpakowickiego”, jak polskiemu nazwali rejon lasów spałskich nawiedzonych przez rozpasane żywioły. Wszelkie domysły, poparte żmudnymi obliczeniami, prowadziły do hipotetycznego twierdzenia, że nad „niecką” wytworzył się stęp powietrza pochodzenia cyklonicznego, który ze względu na naukowych należało obserwować z bliska. Przygotowano wyprawę naukową, i postano Kozłowi deszcz:

„Trzymajcie się stop, my tam zaraz będziemy stop, wszystko wam wyjasnimy stop”.

Na Kozła padł błąd strach. Próbował rozmawiać z Judaszkiem. Ale powiedział krótko, że jeśli meteorologia zawiodła na całej linii, to on, bynajmniej nie rezygnując ze słych pieniędzy, rezygnując z czarny rynek i będzie czynił wszystko, aby je w ten czy inny sposób pomnożyć. Oświadczył wreszcie, że dla niego człowiek, który nie ma szczęścia, przestaje istnieć tak samo, jak człowiek, który NIE MA ROZUMU. Kozioł uchwylił się tej sentencji jak toniący brzytwy i był za to Judaszki nawet wdzięczny. Postanowił NIE MIEĆ ROZUMU.

Dobra rodzina, chcąc go jakoś ratować, poradziła mu lekarza chorób nerwowych, wychodząc z założenia, że osobnik legitymujący się „wariackimi papierami” nie będzie odpowiadał przed prokuratorem. Pojechał przeto Kozioł w asyście dwóch braci do zakładu umysłowo chorych. Lekarzem badającym był początkujący medyk, który zrobił dyplom. Kiedy się dowiedział o idei kulkata — meteorologa, zorientował się odrazu.

— W lewym kolanie reumatyzm — wołał już od proga — powikłań mózgowych nie stwierdzono.

Jak na ironię pielęgniarza pokazała mu pogryzioną dłoń.

— I aniola zobaczył na kaloryferze — krztusiła się łzami.

— Aniota? — medyk opadł bezsilnie na fotel, który jeszcze przed chwilą zajmował pacjent.

W jakimś czasie później przyprowadzono mu nowego pacjenta. Z karty chorobowej wynikało, że jest to niejakis Franciszek Judaszek ze Szpakowa. Nic nie mówił — jeno plakał. Rodzina nie umiała określić przyczyn jego depresji. Po prostu któregoś dnia wziął do ręki gazetę i naraz jakby grom z jasnego nieba: zakrzuszył się, złapał za głowę i odleciał myślami hen, w te zaświaty niebieskie.

— A jaka to była ta gazeta? — badał medyk.

— Niby owa... Medyk rozłożył dziennik, na pierwszemu kolumnie tuście czcionki głosiły wielką nowinę: „DOKŁADNY CIOS SPEKULANTOM I KOMBINATOROM WYMIERZYŁA UCHWAŁA RADY MINISTRÓW W SPRAWIE ZNISZCZENIA BONO-WEGO ZAOPATRZENIA, REGULACJI CEN, OGÓLNEJ PODWYŻKI PŁAC I ZNISZCZENIA OGRANICZEN W HANDLU NADWYŻKAMI PRODUKTÓW ROLNICZYCH”

Wojciech Drygas

HORACY SAFRIN

SKARGI PANI PYTLASINSKIEJ

Wczoraj powiedział spiker BIBISI: coś niedobrego w powietrzu wiś. I proszę — odgadł. To ci poradki! Rząd zlikwidował po sklepach rządkł. Z dnia na dzień taka poważna zmiana! Rzec podjeżzana! Rzec podjeżzana!

Dziś rano idę z dzbankiem po mleko. Staję jak wryta, mrugam powleka. O gwałtu, wry! Co się tu dzieje? Przed mleczarniami nie ma kolejek. Nie ma kolejek z samego rana! Rzec podjeżzana! Rzec podjeżzana!

A w sklepie mięsnym — to już niesposób! — czeka zaledwie cztery-pleć osób. Sam pan kierownik z słodziutką minką odważa jedną rabanek z szynką. Tyle mięsiwa, aż bolą oczy: schab, bruchowina, baleron, boczek!

W spółdzielniach jakaś siła nieczysta! Świeże maselko spogląda z wystaw, a nawet w jednej z pobliskich witrzyn widziałem stertę żółtutkich cytryn. Taka obfitość po samych świętach! Rzec podjeżzana! Rzec niepojeta!

Mówiąc po prawdzie: my z Dobrodziejką już oswojone były z kolejką. Można tam było gwarzyć do woli, trochę poposioczyć i poplabodlić. Lecz nie ma rzeczy trwałych na świecie! Więc Dobrodziejce wyznam w sekrecie:

Sąsiadce, co to sławę ma wrócił, śniły się wczoraj na wierzbie gruszek. Pani Gaduliska, ta z naprzeciwka, widziała we śnie chudego świka. Włęcz, jak egipski wyjaśnia sennik, wszystko się wkrótce z gruntu odmieni!

Niedawno mówił „Głos Ameryki”: to reżimowe chwytły i tricki. Wszelkie towary, rzecz oczywista, lada dzień znikną z sklepowych wystaw. A ja nieplonną żywę nadzieję, że się doczekam jeszcze kolejek!

Lecz jednak próżne takie nadzieje: Rząd towarami rynek zaleje. Zaś Pytlasińska, bzdur snując motek, niech się zabiorą do innych plotek!

Czekolka gminna

Z pamiętnika bywalca kinowego

...XI.51. Dzisiaj wybrałem się do naszego kina. Co to będzie za przyjemny wieczór! Cieszę się z góry na zobaczenie filmu radzieckiego „Krażownik Warg”. To podobno o wojnie japońsko-rosyjskiej z 1905 r. Kiedy przyszedłem pod lokal kina, było już sporo osób. Każdy, kto chciał film zobaczyć, już czekał, ale kina nie otwierali. Podobno kierownik jeszcze nie przyszedł.

...XII.51. Byłem dzisiaj w naszym kinie nr 78 w Pionawach (pow. Maków Mazowiecki). Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w czasie trwania filmu wszedł na salę kierownik, nielaki Welskop Jan i wszczął awanturę z jednym z widzów o jakas dziewczynę. Kierownik był pijany.

...I.52. Byłem dzisiaj w naszym kinie. Wszyscy go nam zardroszczy i z okolicznych się przyjeżdżają, aby móc zobaczyć filmy. Czekaliśmy na kierownika przeszło pół godziny na wozach, bo kino zamknięte. Namarliśmy się co niemiara. Poszedł jeden z nas, żeby dowiedzieć się, co jest, wraca i mówi, że benzyny nie ma to i filmu nie będzie.

...I.52. Byłem dzisiaj w naszym kinie. Ale seans nie odbył się. Kierownik powiedział, że motor się przebiegł. I potem pojechał szybko do sąsiedniej wsi na imieniny przyjaciela.

...I.52. Byłem dzisiaj w naszym kinie. Już mi się tam zdziwiło chodzić, bo to kino ze swoisty niespodziankami. Raz motor nawala, to znów kierownika brzech boli, to znów długie, choć czasem takie niespodzianki, czy radośna, a to przeważnie nagrywanie się z widzów. Co nas dziś czeka? pytał jeden drugiego oczekując na wypuszczenie do sali. Zimno jak w zimie, co przytupialiśmy, a tu kierownik wyżył i oświadczył, że on takiej bandzie wyświełać nie będzie. Jak mu powiedzieliśmy, że to jego prawo, zasmiał się i powiedział, że ma nas gdzieś. Po długiej kłótni puścił film polskiej produkcji „Premiera warszawska”, ale w końcu nie dowiedzieliśmy się, kto ostatecznie zwyciężył, bo wypadło u nas, że pan hrabia. A to dlatego, że kierownik przewał wyświełać i powiedział, żeby iść do domu, bo on czasu nie ma.

...III.52. Studowałem dzisiaj projekt naszej Konstytucji. Podobno mi się szczególnie art. 76 obowiązuje, bo konieczności wypełniania obowiązków wobec Państwa i szanowaniu zasady współzycia społecznego. Wyciąłem z gazety ten wycinek i zaniosłem kierownikowi kina.

...III.52. Zebrało się u mnie trzech chłopaków i napisaliśmy list do Warszawy, opisując zachowanie się kierownika naszego kina w Pionawach. Dotychczas nie dostaliśmy odpowiedzi, ale myśleliśmy, że wreszcie, żeby coś pomogło, ale zawsze użyłoby namzemu sercu takie postawienie sprawy.

...VI.52. Odpowiedzieli nie ma.

...VII.52. Byłem dzisiaj w kinie. Seans rozpoczął się z 50 minutowym opóźnieniem.

...XI.VI.52. Od dziś kierownik dostanie zwolnienie, już nie pracuje. Wie nasz list skutecznie pomógł. Teraz będzie mieli porządne kino wiejskie. Już się w sąsiednich wsiach o tym dowiedzieli. Idziemy cała gromada na film!

Romansowy sołtys

Chcielibyśmy się pochwalić naszym sołtysem, Konstantym Frołkowskim, bo człowiek towarzyski i od kieliszka nie stroni. Chcielibyśmy się nim pochwalić, ale się nie wiemy, czy wypada. Choć sołtys rozstawił na całą okolicę naszą wieś Straszewy. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemniaki, dotarła nawet do Miłk. Obywatelskiej w mieście powiatowym Miławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały tak, jak spodziewaliśmy się. Władze nie poczęły miłkowskim są jeszcze bardziej „znani” w tej mierze ludzie od Frołkowskiego!

Nasz sołtys to poza tym człowiek ładnego serca, dobry, ładnego kumorta, ani kompana od kieliszka nie skrzywdził. Ma on swoje stado, za każdym sprawą powinna przejść przez butel, a wtedy dopiero został nalezy. Nie nadany jej „tok urzędowy”. Po takim załatwianiu spraw sołtys, nocka krzący po wsi, na skłótki, ciemności i braku kieszka nie mogą trafić do domu. Ale mimo braku księżycy Frołkowskiego ogarnia nastroj romantyczny, poczyna wzdychać pod oknami mieszkanek naszej wsi. I to byłoby nie takie najgorsze, gdyby nie to, że sołtysowi przychodzi ochota na dobiegnięcie się pięcioma do okien. Nie tak dawno dobiegł się w okna Moniki Grewowskiej, a eda to nie powiedziano, że jego żaloty, to poszedł do Zofii Ponek ale go stamtąd przepędzili sąsiedzi.

Nasz sołtys to człowiek — można powiedzieć stary daty, choć krzepki i jeszcze i pełen mowki. Ma bowiem nie tylko swoje zasady, ale i metody. Ot np. Mariante Morgolskiej w za miłą za głobka i dogonna miłoś obliczwał zwolnienie od podatków i z planowca skrupy. Gdy kobiectnie nia w smak były te pronocyje, bo meż; ma, Frołkowski nakazał jej podwoić po węgeli (tylko 20 km w jedną stronę), gdy zaś nie pojechała, otrzymał kara. Piszemy o nim, człowiek „stare daty”, gdyż dawniej, niekiedy, tań do stopowano, ale mógł sobie na to po zwolnić niebiesiny sołtys, lecz można pan. Wiodocnie nasz sołtys zapatry się w te odległe czasy i ani rusz nie chce zrozumieć, co mu należy.

Radzimy mu więc w dobrej wierze aby zmienił zasady i wleceł brał się za skup, niż za popieranie Monopolu Spirytusowego, który i tak już więcej za wietu zwolnienia. A gdy sołtys nasz nie zmienił zasad, nam gromadzi wypadnie zmieni... sołtysa!

Władysław Stępien

CZESŁAW MICHNIAK

KSIĄŻKA W GS-ie

RZECZ dzieje się w sklepie GS-u w Bałkowicach (dla nie-uważających powiat Opatów, województwo kieleckie).

— Książki? A tak, mamy książki!

— Pargiela wskazuje na najwyższą półkę.

— Ile tego będzie?

— Sklepowa podaje mi krzesło. — Niech pan liczy — mówi.

— A tytuły?

— Niech pan przeczyta.

— Staję na krześle, którego siedzenie podjeżżanie trzeszczy. Zachowując równowagę, wyciągam szję w kierunku rzędu kolorowych grzbietów.

— Jest około 100 tomów Hamera, Słowacki, Mickiewicz, Gorki, Orzeszkowa. W kątku tekturowe pudełko. Poznaje biblioteczkę marksistowską.

— A co w tym? — pytam, że niby nie wiem.

— Albo to ja czytałam? — Pargiela wzrusza ramionami. Ma duże czerwone ręce, spod swetra wygląda kraciasta męska koszulka Spogląda niepewnie na moją czapkę narciarską, nasadzoną na czubek głowy.

— Kargul, inspektor nadzoru i kontroli — przedstawia się. — Widzi pan, u nas remanent.

Przy stoliku siedzi dziewczyna o piwnych oczach i młodzieńiec w szarej jesionce, pod nosem zamiast wazroś nosi ślady chemicznego obława. Piszą, liczą „Remanent”.

— No to są książki — stwierdzam z zadowoleniem, na co inspektor Kargul uśmiecha się z ulgą. Są książki!

— W magazynie też mamy książki — mówi glosem, w którym wyczuwam chęć pochwalenia się: „To nie wszystko jeszcze, mój panie”.

— Będzie tego ze 300 sztuk — wskazuje palcem w dół.

Schodzimy kamiennymi schodami do piwnicy. Pachnie serem, powidłami i naftą. Przeglądam spis tytułów. Kordian i Cham, Dżurdziołowie, Wychoź cięta, Zorany ugor, Polawia-cze krabów, Anna Proletariuszka. Bogato reprezentowana jest literatura marksistowska. Książki leżą porządkie poukładane, jest ich cały stos.

Jednym słowem żelazne rezerwy — są.

Wracamy do sklepu, gdzie trwa remanent. Piszą, liczą.

— A jak jest u was w czytelnictwie, kto te książki kupuje? — pytam patrząc się na półkę pod sufitem.

Konsternacja. Przystają liczyć, przestają pisać. Sklepowa zerka rozbawionym wzrokiem na właściciela narciarskiej czapki.

— U nas w Bałkowicach jest biblioteka gminna — próbuje tłumaczyć młodzieńiec z fiolelową plamką na górnej wardze — Pozwolicie towarzyszu, że przedstawię się — mówi uśmiając. — Komada, przewodniczący gminny ZMP.

— Koleżanka Staniszevska ze sklepowej w Nieskurzewie została awansowana na biuralistkę — zapoznaje mnie z koleją z dziewczyną o piwnych oczach. Uczesana jest gładko z przczadkiem na środku głowy.

— Ludzie wolą pożyczać książki niż kupować. — To przecież zrozumiałe, oszczędzają.

Zwracam głowę w prawą stronę. Wyroby monopolu spirytusowego zajmują prawie pół sklepu.

— A ile litrów wódki sprzedaliście przed świętami — rzucam w stronę sklepowej.

Pargiela myśli. Inspektor zastanawia się wodząc palcami po czole. Tamci przy stoliku uśmiechają się. Awansowana sklepowa z przedziałkiem na głowie. — Czytałam niedawno ciekawe opowiadanie „Jak Wojtek został strażnikiem”, a u Nieskurzewie sprzedatam piętnaście książek w ciągu półtora...

Nagle drzwi się otwierają i wchodzi nieznanymi chłop.

— Dajcie mi — wali prosto do sklepowej — „Zorany ugor” — taka gruba książka.

— Ale! dziś nic nie sprzedajemy, remanent — mówi stanowczo Pargiela Dobrze się czuje w swojej roli.

— Niech pani sprzeda — doradza Kargul.

— Na półce zdaje się nie ma — zauważam — trzeba do magazynu. Sklepowa znika za drzwiami.

Nieznanomy tłumaczy: — Widzicie, pożyczylem te książki w bibliotece, bardzo mi się podobała. Czytam i czytam, czytam i czytam, a pani kierowniczką do mnie: za długo trzymacie, za długo A ja do niej: Jeszcze przecie żona chce przeczytać i szwagier. To potrwa, mówię i oddaję jej książkę. Pocekaćcie no, rzekłem do żony i szwagra, pójdę ja i kupię wam w naszej spółdzielni nowiutką książeczkę. Będziemy sobie miłą ładną książeczkę...

— No i dzisiaj dwie — mówię — obiecując rozpoczęliśmy nowy rok. Nie kradziłem jej tajemnicy; „Ugor” — kupił sympatyczny towarzyszy, kierowca samochodu, którym tu przyjechałem.

Czesław Michniak



Kulak Rys. Walerian Borowczyk Na rynku kapitalistycznym Rys. Jan Lencica

HISTORIA O NIEJAKIM ZIOŁCE IGNACYM

Historię z życia wam opowiem: Niejaki był Ziółko Ignacy, Któremu Ustawa nie wyszła na zdrowie, Albowiem Został przez nią bez pracy...

Nasz Ziółko na rajzy się co dzień wypuszczał, To mięsa wziął z sobą, to tłuszczy, Na rynek wynosił, z bliźniego dął skórę, I ceny podnosił. Wdawał w górę i w górę, A byłby podnosił tak nadal bez granic, Lecz wyszła Ustawa — i cały plan na nic. Dział próżno swój towar wystawia na sprzedaż I próżno w stodole za wlepiem rżnie wieprza: W sklepie jest mięso i tańsze i lepsze, Więc Ziółko zawodził: — „Oj, blada-ż!”

Zawodził, błądził nasz Ziółko Ignacy, Ze przez tę Ustawę jest dzisiaj bez pracy... A myśmy naodwrot — z Ustawy tej radził, Nas cieszą ci „bezrobotni”: Bo kiedy spekulant zajęcie utraci, M y — zyskujemy stokrotnie!

NIC W NATURZE NIE GINIE

„Nic w naturze nie ginie”, tak głosi stara zasada filozoficzna. Ale nie mówi ona nic o tym, czy jeśli zginie owie pole, to się odnajdzie. Wyjaśnieniu więc tego przypadku poświęcimy nasze rozważanie, a z pomocą przyjdzie nam ob Jan Wronski, sołtys gromady Brwino Doline, pow. Gostynin (woj. warszawskie). Z tego wszystkiego, cośmy się o nim dowiedzieli, doszliśmy do wniosku, że nie znał on tej zasady. I tak jak to niedobrze, że człowiek na stanowisku jest mało wykształcony. Bo przecież gdyby Wronski o takiej zasadzie słyszał, z pewnością by nie brał za machanie z ziemia.

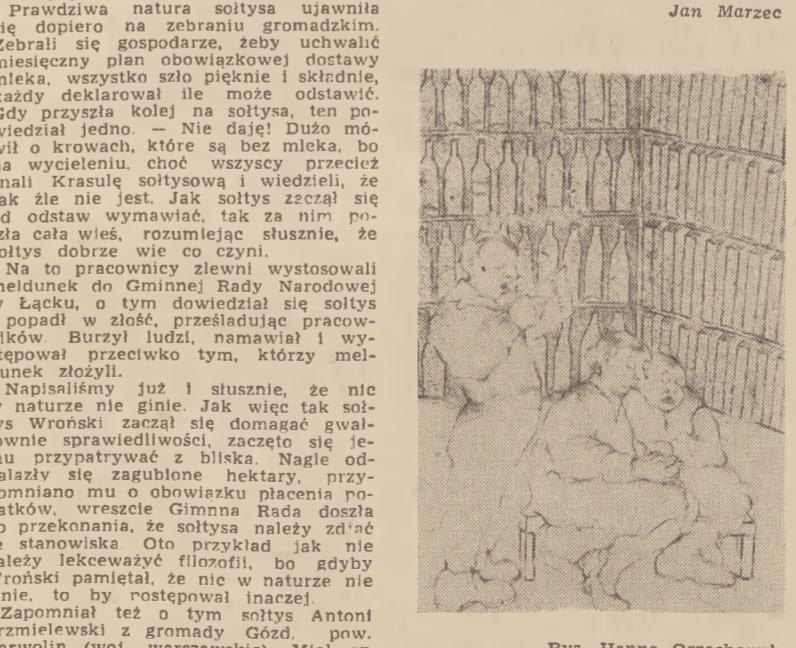
Otóż sołtys Wronski ukrył przed podatkami 3,34 ha ziemi ornej, którą dzierżawił, wychodząc z przeświadczenia, że to ziemia nie jego. I że zawsze łatwej podatków nie płacić.

Prawdziwa natura sołtysa ujawniła się dopiero na zebraniu gromadzkim. Zebrali się gospodarze, żeby uchwalili mieszczy plan obowiązkowej dostawy mięka, wszystko szło pięknie i składnie, każdy deklarował ile może odstawić. Gdy przyszła kolej na sołtysa, ten powiedział jedno. Nie daj! Dużo mówił o krowach, które są bez mleka, bo na wycieleniu, choć wszyscy przecież znali Krasulę sołtysową i wiedzieli, że tak źle nie jest. Jak sołtys zaczął się od odstaw wymawiać, tak za nim poszła cała wieś, rozumiejąc słusznie, że sołtys dobrze wie co czyni.

Na to pracownicy zlewni wystosowali meldunek do Gminnej Rady Narodowej w Łącku, o tym dowiedział się sołtys i popadł w złość, przeladując pracowników. Burzyli ludzi, namawiał i występował przeciwko tym, którzy meldunek złożyli.

Napisaliśmy już i słusznie, że nie w naturze nie ginie. Jak więc tak sołtys Wronski zaczął się domagać gwałtownie sprawiedliwości, zaczęło się temu przypatrywać z bliska. Nagle odnalazły się zagubione hektary, przypominano mu o obowiązkach placenia podatków, wreszcie Gminna Rada doszła do przekonania, że sołtysa należy zdnie ze stanowiska. Oto przykład jak nie należy lekceważyć filozofii, bo gdyby Wronski pamiętał, że nie w naturze nie ginie, to by postępował inaczej.

Zapomniał też o tym sołtys Antoni Przemielewski z gromady Gózd, pow. Garwolin (woj. warszawskie) Miał on



Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROML Redaguje Komitet Adres administracji: Warszawa ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa ul. Starokieleska nr 7 Tel: Red Nacz 727-86 Tel: Redakcji 751-89 dod wewnętrzny 91, 83.

Warunki prenumeraty: mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmuja wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-10316